Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 13. Czerwca 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 24.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ośm lat, to kawałek czasu, rzadkie serce ludzkie z uczuć nie wywietrzeje, gdy je tak długo nosić w sobie musi, nie widząc osób, co je wzbudziły. Dziwili się też wszyscy pannie Barbarze, że uparcie za mąż iść nie chciała, choć tak zwanych Jezusowych latek się doczekała. Ojciec burczał na nią i gniewał się tem mocniej, że sam starzał. Syna hulakę był stracił, pomocy w zięciu potrzebował, a córki skłonić do małżeństwa nie było sposobu. Po śmierci syna, gdy już nie jaki taki posag miała panna Barbara, ale jedyną została u ojca, a Łowczy majątek w oczach robił, choć nie była bardzo młodą, cisnęli się konkurenci tacy, co i po parę wsi mieli i kolligacje piękne. Wszystkich ona z kwitkiem odprawiała.

Łowczy się czasem unosił.

— Na co ty czekasz! — wołał — co się tobie śni? ten niecnota jakiś nie powróci! Jasna rzecz, że człowiek był ladajakiej procedencji, może i chłop — trzeba się jej było tak w niego wlepić!

Łowczanka nigdy na to nie odpowiadała ani słowa.

Posądzano ją w domu, że musiała miewać jakieś listy od narzeczonego, i że sama do niego pisywała, ale jak i którędy to chodziło, nawet matka nie mogła doślедzić.

Tymczasem właśnie w ciągu tych długich lat ośmiu, zaszły w kraju wielkie zmiany. Nie przebrzmiały bez odgłosu słowa Staszica, który upominał się o polepszenie stanu włościan, o zniesienie niewoli i poddaństwa. W ślad za nim podniosły się głosy inne, a co herezją straszną i ujmą praw szlacheckich wydawało się, gdy Zamojski swój podeptany zbiór praw Sejmowi składał — w lat kilka krążyło już jako nieunikniona konieczność.

Nadszedł Sejm czteroletni, który wszystkie ideje kiełkujące tu i owdzie do życia zapragnął, choć nie wszystkie mógł doprowadzić.

Gorzały umysły do reform zbawiennych, mogących społeczeństwo, skarlałe wśród starych instytucji strupieszałych, odrodzić. Jak za długo na te reformy czekano, tak po tem za gwałtownie chciano je urzeczywistnić na raz wszystkie, co bez gwałtownego wstrząśnienia stać się nie mogło — a biada starym gmachom, gdy się pod niemi ziemia zatrzęsie.

Piękna to była chwila, a ci co pamiętali stan umysłów przed kilkunastą laty, wydziwić się nie mogli postępowi, jaki uczyniono.

Było to już w pośrodku tego Sejmu czteroletniego.

W kamienicy na Krakowskiem od tyłu, w wielkiej izbie dosyć skromnie przybranej, o wieczornej godzinie, gdy szary mrok padać zaczynał, a światła jeszcze nie przyniesiono, siedziało dwóch mężczyzn, jakby odpoczywając po pracy. W środku pokoju stół suknem zielonem, poplamionem i startem, okryty, cały był zarzucony papierami i książkami. Na ziemi walały się bibulaste kawałki druków poszarpanych, z pomiędzy książek i broszur, dwa czy trzy ogromne piórami nasrożone, wyglądały kałamarze.

Wszystko tu oznaczało, że nie próżnowano, że z gorączkowym pospiechem jakaś pilna u tego stołu dokonywać się musiała robota. Papiery stosami były nie poukładane, ale ponarzucane, w książkach sterczały zakładki, na białych arkuszach papieru widać było pozaczynane bruljony, pokreślone jakieś notaty. Kilka listów rozdartych bardziej niż rozpieczętowanych, czekały na wierzchu stołów ciśnięte, odpowiedzi...

Wielka sofa w głębi, której barwę trudno było rozpoznać, wysiedziana, wyleżana, z podartem okryciem, musiała służyć nieraz i za posłanie nocnym robotnikom tego stołu. Krzesła proste, poplamione atramentem, bez ładu stały porozsuwane. Jedna szafeczka przy ścianie stała otworem, a zawierała książki, ponachylane, napakowane, w jednych miejscach ściśnięte, w drugich z rzadka rozstawione i bez ładu.

Przy niej stoliczek mieścił na sobie próżną karafkę od wody, kilka ciemnych butelek, zapewne od piwa i parę szklanek ze szkła prostego.

Dwaj znajdujący się tu mężczyźni, spoczywali, jeden szeroko się rozsiadłszy na sofie, z rękami rozłożonemi, a głową na piersi spuszczoną, drugi przed nim na stołku, z głową na dłoni podpartą. Na sofie siedzący miał na sobie suknię duchownego, czarną, wytartą, chociaż twarz jego i postawa więcej żołniersko niż księżo wyglądała. Można było ze śniadej, nie pięknej, ale pełnej wyrazu i życia twarzy jego wyczytać, że przeszedł w życiu przez wiele różnych stopni, nim oblókł się w ciemną żałobną, zamykającą wszystko sukienkę.

Ruchy miał żołnierskie, wyraz oczów śmiały i ironiczny, usta zaciśnięte i szyderskie... Pomimo swej sutanny włożonej jakoś niedbale i zdającej się zawadzać jego ruchom, widać było w tym człowieku żołnierza, jeśli już nie kawalerji narodowej, to jakiegoś zastępu, co się dobijał piórem i słowem trudnych zdobyczy.

Naprzeciw siedzący mężczyzna, znacznie młodszy, twarz miał nie piękną, smutną,

czoło zorane zawczasu zmarszczkami, oblicze niczem się na pozór nie odznaczające, a sympatyczne.

Na obu tak wydychających po trudzie dnia, czuć było znużenie i jakby zniechęcenie. Nie mówili nawet do siebie... Czekali jakby na światło tylko, aby się wziąć do roboty znowu, którą mrok przerwał.

Siedzący na krześle westchnął. Ksiądz podniósł głowę, popatrzał nań długo i rzekł głosem jakby nawykłym do sarkazmu.

— Cóż ty Jacku wzdychasz a wzdychasz? Czas by było rozum mieć! A no, prawda, że u nas, jeśli o co, to o niego trudno. Dowcip się znajdzie, odwaga zwłaszcza na krótko, cnota kiedy na gorąco ją trzeba dać — a zdrowego rozumu w życiu!! ze świecą szukać.

Chciał zaprzeczyć p. Jacek

— Daj pokój nie oponuj! — rzekł duchowny — przeciw oczywistości nic nie pomoże. Gorączki nam z dawnych wieków zostało tyle, że rozum na pniu spaliła...

Rozśmiał się.

— Wiem czego ty wzdychasz — mówił dalej — do pantofla! do kobiety! Tak to wygodnie pod nim siedzieć. Spojrzyj że, pod nim wszyscy. Król że nie ma jednego oficjalnego, siedzi pod kilką, Jenerałowej, pani Krakowskiej, swoich siostrzenic, sióstr i przyjaciółek... W Senacie pod pantoflami wszyscy. Dla tego u nas bez kobiet się nic nie robi — i wszystko się robi po kobiecemu —!

Uderzył ręką po poręczy sofy.

— Tak, moje dziecko! tak! i ty tęsknisz za szczęściem pantoflowem.

— Cóż mam robić! przyznam się ks. kanonikowi, że jeśli nie za pantoflem, to za kobietą z którą dawno zaręczony jestem, śmiertelnie tęsknię.

— Dawno? jak dawno? — zapytał kanonik.

— Ośm lat temu!

— Jezu miłosierny — rozśmiał się duchowny — i przez lat ośm zostałeś ty jej, ona tobie wierną! A toć do metryk koronnych zapisać!!

Jacek milczał.

— Ks. kanoniku — odezwał się dawszy pośmiać z siebie. Obiecaliście mi dawno być u ks. podkanclerzego pośrednikiem... Śmieliście się ze mnie że mi się tak szlachectwa chce... Ja go dla siebie tak bardzobym nie pragnął, ale ośm lat czeka moja narzeczona, a ja się z nią ożenić nie mogę, póki nobilitacji nie otrzymam...

— Teraz cię rozumiem — odparł kanonik, i — żal mi cię. Ks. podkanclerzy wielce WMości szacuje i jest mu przychylny nie wątpię, że się do prośby przychyli, ale z nobilitacjami, których już tyle Sejm nadał, coraz ciężej, szlachta zazdrośna, burczy...

Nic nie mówiąc pochylił się ku kolanom siedzącego Jacek.

— Z duszy, serca bym ci rad to uczynił — odezwał się ksiądz. Za długoletnią w kancelarjach pracę, uczciwość i zdolności należy ci się nagroda, król podpisze chętnie, ale w Sejmie...

— A ks. podkanclerzy?

Właśnie to imię wymawiał Jacek, gdy drzwi z łoskotem się otworzyły od drugiego już oświeconego pokoju i z papierem w ręku, wszedł drugi duchowny...

Jakby na dany przez niego znak innemi drzwiami, wniósł niepozornie ubrany sługa dwie świece w lichtarzach. Kanonik się podniósł, wstał p. Jacek.

Był to ks. Hugo Kołłątaj; twarz nie miła ale rozumna, czoło piękne, oczy wypukłe czarne, wyraz pewien siebie i energji pełny. Jedwabna suknia na nim cała była zmięta i niedbale włożona, na szyi miał na w pół zasłonięty i krzywo zawieszony order św. Stanisława. Wszedłszy szybkim wzrokiem obiegł pokój do koła i zbliżył się do kanonika.

— Ks. Jezierski! na miłość Boga, oto notatka! Zrób z tego coś na co ja czasu, ani do tego talentu nie mam, coś coby było krótkie, gorące, twoim zaprawione dowcipem, coby na ulicach rozrywano, gdy Gröll wydrukuje.

— Te świstki, te świstki — dodał — które wiatr za kilka dni rozniesie, że po nich nie zostanie śladu, na razie działają jak najsilniejsze lekarstwa. Książki dużej nie ma nikt czasu czytać, wielu poważnej nie zrozumie, a Postyljona z trąbką, a Cygana z kropidłem rwą ludzie, pochłaniają i prędzej im dowcipem trafisz do przekonania niż argumentami.

Mówił żywo, uderzając po papierze, a oczów nie mogąc na jednem miejscu utrzymać. Jezierski brał już arkusz z rąk jego.

— Ty pisz, a Jacek niech *stante pede* kopiuje na czysto... — dodał — a żywo! Czas płaci, czas traci. *Carpe diem!* Co dziś może zbawić, jutro się na nic nie zdało!

Ks. Jezierski patrząc na notaty uśmiechał się szydersko...

— Smutna to rzecz pracować nad świstkami, po których pamięci nie będzie — rzekł — ale gdy potrzeba, sakryfikować się musiemy...

— Potomność kiedyś do waszego rachunku to wpisze! — rzekł podkanclerzy.

— Nie dla każdego potomność! — odparł ks. Jezierski — Bóg z nią, byle obowiązku człek dopełnił.

— Jeziersiu! — gorąco! — dodał ściskając go podkanclerzy... Dodaj pieprzu i soli!

Uśmiechnął się spoglądając na milczącego Jacka.

— A! — przerwał już do stołu się zbliżający kanonik — na miłość Boga, niech wasza Excellencja, zlituje się nademną i Jacka tego wynobilituje, bo mi wzdycha wprost w ucho i czyni dystrakcją. Doszedłem przecie na co mu szlachectwo potrzebne — mówił dalej patrząc z ukosa na czerwieniącego się Jacka — oto lat temu ośm, niech W. Excelencja słucha i admiruje, lat temu ośm jak jest zaręczony ze szlachcianką i oboje czekają na to aby się pobrać.

Ks. podkanclerzy ruszył ramionami w ten sposób iż prędzej było można przypuścić, że się litował niż dziwił stałości uczuć.

— Obiecałem — rzekł sucho — a co obiecuję, staram się dotrzymać. Uszlachcamy dużo, ale szlachta się kwasi.

— Jednym mniej, jednym więcej — wtrącił ks. Jezierski.

— Tak, tak, a moją nagrodą za to będzie — dodał ks. podkanclerzy — że najzdolniejszego, najpilniejszego, najuczciwszego stracę kancelistę.

— Będę W. Excelencji służył dopóki tylko będę potrzebnym! — odezwał się Jacek...

— Dobrze, dobrze, przygotuj-że papiery wszystkie — łagodniej rzekł ale z pośpiechem podkanclerzy, jakby się co rychlej chciał zbyć tej sprawy — wyszlachcimy cię.

— Papiery gotowe — odezwał się Jacek z wielkim trudem — ale i uwolnienie starego ojca wyrobiłem i zgodę rodziny mojej matki, szlachcianki, która mnie do herbu macierzystego przyjmuje.

— Bądź-że spokojny! wybiorę tylko chwilę, gdy posłom będzie pilno na bal, na asamble, na reduty lub na hecę, aby prawo przeszło bez opozycji.

Skłonił się Jacek.

— Bodajeśmy tak inne nasze projekta przeprowadzić mogli — westchnął Kołłątaj. A jest ich tyle! Nowy prawie gmach budujemy i to nad głowami w nim znajdujących się ludzi.

— To też się skarżą — wtrącił ks. Jezierski — że im cegły na głowę spadają.

Rozśmiał się podkanclerzy.

— E! gdyby nie jeden pusty czerep rozbiły — zakończył — nie wielka by szkoda była.

To mówiąc wyszedł, w tejże chwili niestrudzony Jezierski już do stołu zasiadłszy i notatkę w rękę ująwszy, zabierał się do zredagowania pisemka, które jutrzejszego wieczora już po mieście krążyć miało i odbić się może echem w obradach sejmowych.

Jacek tymczasem sposobił papier, pióra i miejsce, aby natychmiast wychodzące z pod ręki Jezierskiego arkusze na czysto przepisywać...

Zdziwi się może czytelnik, iż w tej nowej postaci znajduje kancelistę księżnej wojewodzicowej. Nie miał on w pierwszej chwili co czynić tylko uciekać musiał jak najdalej od rodzinnego kąta. Zabiegłszy ukradkiem do ojcowskiej chaty, aby ostrzedz rodziców, ledwie godzinę w nocy z niemi przebywszy, puścił się Jacek do stolicy, gdzie się zawsze najłatwiej skryć i zatrudnienie znaleść można było. Tu jednak błądził z razu póki mu się udało spotkać z jednym ze swych dawnych bialskich nauczycieli. Ksiądz staruszek, który bardzo ucznia swojego lubił, wyrobił mu naprzód bardzo lichą posadę skryptora w pańskiej kancelarji...

Przechodząc z jednej do drugiej powoli Jacek miał ciągle na widoku dostać się do kogoś mającego wpływ znaczny, aby z jego pomocą nobilitację pozyskać. Szczęściem Mazanowski zmarł, na polowaniu z ks. panem kochanku zaziębiwszy się po niepomiernem rozgrzaniu trunkiem. Groszem skrzętnie uciułanym, za wpływem i protekcją różnych osób, uzyskał Jacek libertacją rodziców i przeniósł ich oboje do Białej. (C. d. n.)

PRZYCZYNEK
do historji Sejmu Grodzieńskiego.

Wychodzący w Warszawie pod redakcją księcia Golicyna *Dniewnik* począł umieszczać od niejakiego czasu w feljetonie urywki z „Historji pułku grenadjerów petersbuskich“ (dziś: grenadjerów imienia cesarza austrjackiego; należy do 3-ej dywizji gwardyjskiej, konsystującej w Warszawie), napisanej przez jednego z oficerów tegoż pułku, porucznika F. Orłowa.

Los zdarzył, że pułkowi temu wypadło wszędzie brać najczynniejszy i najgłówniejszy udział we wszystkich główniejszych bitwach i wypadkach w boleśnym dla nas okresie 1792 do 1794, a następnie w 1831 roku; historja jego przeto nie może być dla nas obojętną. *Dniewnik* drukuje urywki dotyczące rzeczy polskich. Pomijając inne, podajemy najciekawsze, o sejmie grodzieńskim. Autor czerpał ze źródeł i materjałów przechowanych: w „archiwum sztabu głównego“ w Petersburgu, z części tegoż archiwum, złożonego w Moskwie, i nareszcie z tak zwanego „wojenno-naukowego archiwum“, znajdującego się jak pierwsze, także nad Newą. Sądzimy, że mało który z polskich historyków do nich zaglądał. Urywek o sejmie grodzieńskim, poniżej zamieszczony, przetłumaczyliśmy bez zmiany, nie wdając się w sprostowania błędów i kłamstw, jakich pozwalają sobie zwykle historycy rosyjscy, nawet tak poważni jak Kostomarow lub Iłowajski. Dzieje sejmu grodzieńskiego są dość znane, ażebyśmy mieli prostować n. p. takie fałsze, jak że w roku 1792 istniał spisek na życie króla, lub że wychodzący z sejmu posłowie po dokonanym na nich niesłychanym gwałcie, mówili do żołdaków moskiewskich: „że gdybyśmy mieli to męztwo i moc duszy, jakie wasz Siewers posiada, to i my bylibyśmy wiernymi synami ojczyzny naszej, jak wy jesteście waszej“ itd. Nawet taki Łobarzewski, Podhorski, Miączyński lub Drewnowski, nigdyby się nie ośmielili zdobyć na coś podobnie nędznego.

Pułk grenadjerów w Grodnie
w czasie Sejmu 1793 roku.

(Treść: Hr. Siewers przybywa do Grodna. Pułk go spotyka salwami artylerji. Cały korpus zajmuje leże dokoła Grodna. Major Gałaczew z dwiema kompanjami wysłany zostaje do wojsk Igelstroma w Warszawie. Pierwsze posiedzenia sejmowe. Wielkanoc; Polacy i Rosjanie obchodzą ją wspólnie. Życie w Grodnie. Odkrycie spisku. Okólnik hrabiego Siewersa do Tyszkiewicza. Sejm oddany pod opiekę petersburskich grenadjerów. Generał Rautenfeld z oficerami w sali posiedzeń. Major Brjer-del-Marte i podporucznik Deruchin. Uroczystości 22. lipca i 30. sierpnia. Aresztowanie czterech posłów. Posiedzenie 12. września. Moc duszy Siewersa i Rautenfelda. Dwa bataljony grenadjerów z 4-ma działami w Zamku; warty zdwojone, lonty zapalone. Posiedzenie n i e m e. Postępowanie Rautenfelda i oficerów. Grenadjery wypuszczają posłów z Zamku nad ranem po 4-tej godzinie w nocy. Postępowanie posłów względem wojska.)

Dnia 21. marca przybył do Grodna hr. Siewers, główny pełnomocnik dworu naszego na sejm, mający się otworzyć w celu ostatecznego ułożenia umowy w sprawie odstąpienia prowincyj odpadłych do Rosji, skutkiem drugiego podziału Polski. Zadaniem hrabiego było skłonienie posłów do d o b r o w o l n e j ratyfikacji odnośnego traktatu. W tymże samym celu zjawił się też w Grodnie i pruski poseł Bucholtz. Poczęli niebawem zjeżdżać się posłowie, t. j. deputowani sejmowi (zmuszeni po większej części, a nieraz i pod konwojem kozackim), a po nich i król przybył z Warszawy (4. kwietnia) wraz z przewódzcami różnych stronnictw polskich. Pomiędzy posłami niemało było takich, którzy przybyli jedynie w celu wywołania powstania, jak naprzykład Gąsiorowski. Tadeusz Kościuszko, poźniejszy bohater w wypadkach mających się spełnić za rok, a który już w roku zeszłym niemałą chwałą okryć się potrafił — również przybył do Grodna. Ten ostatni potajemnie.

Hrabia Siewers, ów główny pełnomocnik imperatorowej, stanął w Grodnie, zaopatrzony w najrozmaitsze instrukcje i pełnomocnictwa na wszelkie możebne wypadki, przyczem imperatorowa mianowała go równocześnie naczelnym wodzem wojsk stojących na Litwie, a szczególnie w okolicach Grodna. Zwykły nasz ambasador, Igelstrom, generał, zaraz po jego wyjeździe z Warszawy, tak mu pisał do Grodna: „Niech Wasza Doskonałość wydaje wszelkie rozkazy, jakie tylko uzna za potrzebne. Rozkazy pańskie będą zarazem moimi. Serdecznie proszę Was o to. Ja i Wy — stanowimy jedno. Jeszcze przed wyjazdem Pańskim z Warszawy, wydałem odnośne rozkazy generałowi Rautenfeldowi“. *) — Rautenfeld dowodził wojskami zebranemi około Grodna, tym więc sposobem pułk nasz znalazł się pod rozkazami Siewersa. Wjeżdżającego do miasta hrabiego, grenadjery petersburscy spotkali, według owczesnego zwyczaju, sformowawszy się w czworobok. Generał Rautenfeld nakazał strzelać z dział artylerji pułkowej i w ogóle postarał się, ażeby wjazd Siewersa do Grodna odbył się jak najwspanialej, z zachowaniem wszelkich ceremonji wojskowych. Wysypali się też i mieszczanie na rynek, a nawet damy dostojne, zobaczyć jak zjeżdża główny nasz na sejm pełnomocnik, ale naturalnie uczynili to przez prostą ciekawość, nie zaś przez jakąś tam ku nam przychylność. Dowódzcy rozmaitych komend prezentowali się hrabiemu, gdy wysiadł z karety. *)

Pułk w owym czasie (a składał się z 4-ch bataljonów) był prawie cały zebrany. Dnia 24. kwietnia część jego, a mianowicie dwie kompanje z jednem działem, pod dowództwem majora, wysłane zostały do Warszawy dla wzmocnienia wojsk Igelstroma, reszta zaś stała w Grodnie.

Dla uczynienia panów posłów sejmowych bardziej uległymi, zadecydowano ściągnąć jak najbliżej ku Grodnu cały korpus wojska, przyczem generał Igelstrom ze swemi wojskami około Warszawy był także gotów na pierwsze skinienie hrabiego. Dla wojsk ściągającego się korpusu wyznaczono leże w okolicach miasta, nie chciano bowiem w samem mieście mieć dużo żołnierzy (a to dla zachowania pozorów, ażeby o ile można uniknąć zarzutu, że sejm działa pod presją gwałtu). W odnośnym rozkazie dziennym powiedziano: „W mieście zostawić tylko pułk księcia Cycjanowa“ (Ormianina rodem), t.j. pułk naszych grenadjerów *), pułk jegrów postawić dokoła miasta, a resztę w okolicach.

Wkrótce wysłano z pułku naszego dwie kompanje na egzekucję do dóbr marszałka w. lit. Tyszkiewicza, i od tej chwili dla wszystkich było już widocznem, że i wojsko w razie potrzeby zwalczenia uporu sejmujących będzie użytem na równi z innymi sposoby, wskazanymi w instrukcjach danych hrabiemu.

Rozpoczęły się konferencje. Od rozpoczęcia ich aż do chwili otwarcia sejmu (17. czerwca), było cicho i spokojnie. Dygnitarze rosyjscy i posłowie sejmowi jednakowo na Wielkanoc wyprawiali uczty i bankiety, jedni przed drugimi siląc się na gościnność. Hrabia nie szczędził na blask i pompę zewnętrzną. Stał w domu, należącym do królewskiej ekonomji, i chociaż ciągle się uskarżał, że pokoje zbyt niskie, nie przeszkodziło to mu jednak i tu wystawić pod baldachimem z drogiego aksamitu ogromny portret imperatorowej, a następnie co rana przed tym portretem ceremonjalne audjencje dawać, a wieczorami wyprawiać bale i rauty, na które damy polskie zapraszał. Polacy, według swiadectw spółczesnych, nie mogli wyjść ze zdumienia nad przepychem objadów i kolacji hrabiego, tak były one wykwintne i zbytkowne, i tak bogate nakrycia. Zwykle na podobnych ucztach stał po środku sali transparent ubrany kwiatami, a na nim taki napis: *In unanitate felicitas*. Po objedzie, gdy panie nieco się przebrały, następował bal, trwający do poźnej nocy. Bale rozpoczynano polonezem. *)

Oficerowie nasi brali jak najczynniejszy udział we wszystkich tych balach: z magnatami pili na zabój, zgrywali się w karty chętnie, a nie mniej chętnie i gorliwie zalecali się do kobiet. Już to Polacy nie bardzo od nas na biesiadach stronili; owszem, przestawali z nami dość chętnie. Ażeby jednak nie nazbyt drażnić narodowych ich uczuć i godności, wszystkim oficerom nietylko pozwolono, ale i kazano nawet, wbrew obowiązującym u nas dotychczas przepisom, nie inaczej występować na balach i ucztach, jak tylko w ubraniu cywilnem. W cywilnem też ubraniu zasiadali oni zwykle pomiędzy arbitrami (t. j. publicznością) w czasie posiedzeń sejmowych, aż póki arbitrów na rozkaz Siewers'a nie wydalono z izby sejmowej. Nie tylko na balach u Siewers'a przyjaźnili się z Polakami oficerowie pułku naszego; uczęszczali oni i do domów polskich. Frak, zamiast munduru, ułatwiał im wielce wstęp do wszystkich domów i salonów polskich, na równi z oficerami świty Siewers'a i członkami ambasad innych zagranicznych dworów, nad którymi to członkami oficerowie nasi tę jeszcze mieli przewagę, że wielu z nich doskonale mówiło po polsku. Lecz raz frak zrzucony, a mundur znów wdziany — następował wnet koniec przyjaźni; stosunki przyjacielskie milkły, oficer stawał się tylko oficerem, przyczem przyznać należy, że ciągłe obcowanie z Polakami w ciężkich tych czasach, nie obeszło się bez wytworzenia pewnego rodzaju wyobrażeń o Polsce (?), a szczególnie o królu polskim, od których sam nawet hr. Siewers nie mógł się otrząsnąć, jak to z listów jego widać. Dowódzca pułku, książę Cycjanow, nie dawał się wyprzedzać w dawaniu balów i bankietów, przyczem w dnie uroczyste (!), jak naprzykład na imieniny Siewersa, wystąpił z iluminacją i fajerwerkiem nawet. „We fraku, lat około 30, wzrostu niewielkiego, lecz nader miły i dobrze wychowany“, jak powiada Ochocki w pamiętnikach swoich, książę

*) Ogólne archiwum sztabu głównego III. tom. Raport generał-lejtenanta Sakena do komisji wojskowej Nr. 448.

*) Iłowajskij: «Sejm grodzieński roku 1793.«

*) Raporty Sakena (ogólne archiwum sztabu głównego).

*) Iłowajski: «Sejm grodzieński roku 1793.«

*

prawie zawsze z polskim jenerałem Działyńskim znajdował się na wieczorach u pewnej polskiej piękności, ojciec której widocznie był względem niego bardzo dobrze usposobiony. W owym czasie książę często wyjeżdżał na urlop; w takich razach generał Rautenfeld i za niego i za siebie służbę spełniał gorliwie, i to było zapewne powodem, że Ochocki w pamiętnikach swoich, nie znając go bliżej, nazywa go brygadjerem gwardyjskim, który na urlop tylko przyjeżdżał do Grodna.

Z przyjazdem króla i posłów sejmowych Grodno znacznie się ożywiło. Oprócz świty królewskiej i wojsk cudzoziemskich, zjechało mnóstwo kupców i przemysłowców warszawskich; nie brak było nawet magazynów strojów i niebawem na balach i wieczorach panie polskie wystąpiły w strojach przewyższających oryginalnością swoją wszystkie, bez wyjątku mody. W chwili gdy cała Polska była jak w gorączce, w chwili, gdy się rozstrzygały jej losy na długo a może być na zawsze, w chwili tej szalano na balach i ucztach wesołych... Władze rosyjskie starały się podtrzymać ten szał zabaw i orgji najrozmaitszych; a nawet starały się prześcignąć Polaków w „umiejętności“, jak się wyrażano, „życia“... „Oficerowie nasi, powiada Iłowajski w wzmiankowanej historji, rozbijali się po mieście w pysznych karetach, zaprzężonych cugiem w sześć lub cztery konie; polscy magnaci, w mniej zbytkownych powozach, ustępowali na bok i trzymali się zdaleka.“ Żołnierze i podoficerowie, rozlokowani w mieście i zajmujący tamże warty i posterunki różne, także nie pozostawali w tyle za starszymi i bawili się po swojemu; hulali po karczmach i szynkach. Wszędzie, gdzie spojrzeć, widać było tylko nasze mundury, bo polskie wojsko, żołnierze i oficerowie, przybyłe do Grodna dla trzymania warty w zamku królewskim, nigdzie się nie pokazywało.

Trwało to jednak nie długo. Wnet codzień poczęły latać kurjery jeden za drugim to do Petersburga do carycy, to do Warszawy do Igelstroma. „Zewsząd nadchodziły pytania nie bez obawy, powiada historyk, na które zawsze jednakowo odpowiadał Siewers: *»wsio błahopołuczno«*, wszystko dobrze. W rzeczywistości, było tak tylko do czasu. Bo gdy król na sejm zjechał do Grodna — a zjechał jako prosty śmiertelnik, jakby jaki zwykły poseł sejmowy, i to pod eskortą wojsk naszych — gdy hrabia, dowiedziawszy się o zamierzonym spisku, zarządził surowe środki policyjne, gdy wydano rozporządzenie, by nikt bez paszportu nie śmiał wjeżdżać i wyjeżdżać z miasta lub do miasta — wnet wszystko inną postać przybrało, dawna spokojność bezpowrotnie przepadła. W izbie sejmowej poczęto hałasliwie rozprawiać przeciw podpisaniu traktatu z rządem rosyjskim. Gąsiorowski otwarcie się wyrażał, że polscy deputowani gotowi są wyczekiwać z krwią zimną następstw zamiarów rosyjskich, jak niegdyś wobec Gallów rzymscy senatorowie. Hrabia odpowiedział na to oświadczeniem: „że jeśli sejm natychmiast nie pozwoli deputacji swojej podpisać ów traktat, to on, pełnomocnik Rosji, postąpi z Polską, jak z krajem nieprzyjacielskim.“ [1]) Było to 16. lipca. I już *wtedy* dano Rautenfeldowi rozkaz, aby podsunął jeszcze bliżej do miasta wojska korpusu w okolicach rozlokowanego.

W sejmie tymczasem wniosek o przyjęciu traktatu, oddany został pod głosowanie. Po mowie króla, po licznych gorżkich na gwałt narzekaniach, po rozmaitych scenach nieprzyzwoitości pełnych (?) (*»bezobrazjach«*), które w każdym sejmie (?) zresztą zdarzyć się mogą, i które aż nadto wiadome są wszystkim, udało się nareszcie deputacji uzyskać większość głosów i pierwsza część tym sposobem zadania sejmu, była spełnioną najzupełniej „błahopołuczno“ (szczęśliwie). Deputacja podpisała traktat dnia 22. lipca, w dzień urodzin Wielkiej Księżnej Olgi Piotrownej. Tegoż samego dnia hrabia Siewers, zaraz po podpisaniu traktatu, dał paradny objad, na który zaprosił wszystkich generałów i oficerów wojsk, składających załogę grodzieńską, wszystkich zagranicznych posłów i ministrów, a nareszcie i członków deputacji sejmu polskiego, którzy podpisali traktat, jak również wszystkich swych przyjaciół i pomocników (polskich?).

Na następnych posiedzeniach, gdy przyszła na porządek dzienny sprawa odstąpienia odwiecznych polskich na rzecz Prus prowincji, sejm, jak jeden człowiek, za nic nie chciał zezwolić na to odstąpienie. Nazajutrz, po nader burzliwych rozprawach, jakie miały miejsce na posiedzeniu z 16. sierpnia, ambasador brandenburski, Bucholtz, podał notę brzemienną w groźbę surową w imeniu króla pruskiego, że jeżeli sejm się nie zgodzi, to wojska pruskie, pod dowództwem Molendorfa, natychmiast rozpoczną kroki zaczepne.

Jednocześnie dowiedziano się w kołach rosyjskich, że wielu patryotów polskich, obecnych w Grodnie i sejmie, są dowódzcami „pospolitego ruszenia“, że istnieje stronnictwo, spisek rewolucyjny knujące, i że już nawet uknuło go. *Natychmiast hrabia Siewers zdecydował się dać czynną Bucholtzowi pomoc* i na dzień przed posiedzeniem 22. sierpnia, takie do Tyszkiewicza wystosował pismo: [1])

„Nadeszłe wiadomości o spisku przeciw świętej osobie króla, a także przeciw osobie marszałka sejmowego i dostojnych niektórych osób z senatu, ministerstwa i koła poselskiego, zniewalają mnie do przedsięwzięcia pewnych środków ostrożności. O godzinie 2-giej po południu staną dwa bataljony grenadjerów na tarasie i podwórzu zamkowym (gdzie się odbywają posiedzenia sejmowe). Generał Rautenfeld rozstawi pikiety wszędzie tak, ażeby ani jedna dusza żywa, niemająca obowiązku znajdowania się w zamku na służbie około świętej osoby królewskiej Najjaśniejszego Pana, nie mogła przecisnąć się do sejmu. A pod oknami zamku, również ustawione będą warty, *ażeby i przez okna nikt ani wejść ani wyjść nie mógł. U drzwi jedynego wolnego wejścia do zamku,* przez które będzie wolno wchodzić i wychodzić, postawiona będzie warta, składająca się z samych oficerów, obowiązkiem których będzie badać i rewidować każdego wchodzącego, ażeby przypadkiem nie wcisnął się czlowiek podejrzany. *Jeżeli u którego z wchodzących posłów sejmowych, powyższa warta przy rewizji znajdzie broń ukrytą, poseł taki natychmiast będzie aresztowany, posadzony do turmy i pod sąd kryminalny oddany jako taki, który zamierzał popełnić morderstwo. Pan, jako marszałek dworu, powinieneś zrewidować, czy przypadkiem który z oficerów lub żołnierzy gwardji litewskiej, trzymających wartę około świętej osoby Króla, nie ma ostrych ładunków, lub prochu i kul, chociażby oddzielnie; a podobnych żołnierzy i oficerów natychmiast aresztować.* Jeśli kto, niemający żadnego obowiązku, prześliznąwszy się do sali sejmowej, ukryje się w onej a będzie znalezionym, taki również natychmiast będzie aresztowany i do turmy wsadzony. *W komnacie poprzedzającej salę sejmową, będzie oprócz wymienionej pikiety u drzwi wchodowych, siedzieć inna jeszcze pikieta z 12-stu oficerów rosyjskich złożona, którym wolno będzie wchodzić do sali sejmowej i w czasie rozpraw siadać pomiędzy posłami.* Generał Rautenfeld usiądzie w pobliżu Króla, po lewej stronie jego, i będzie pilnował, ażeby nie przyszło do jakiegobądź gwałtu, szczegolniej względem osób: jego „wieliczestwa“ Najjaśniejszego Króla, marszałka sejmowego i waszej, jaśnie wielmożny panie. Proszę ogłosić, *ażeby nikt z posłów sejmowych nie ruszał się z miejsca swojego,* wyjąwszy wypadki, gdy który wezwany będzie do króla. Jedynie tylko na nieporządki i gwałty zezwolić nie mogę, a zresztą pozostawiam zupełną swobodę słowa, *przyczem ci, którzy się niesfornymi okażą, pociągnięci będą do odpowiedzialności prawnej.* Zechciej pan niniejszy list zakomunikować w oryginale albo tłumaczeniu tak jego „Wieliczestwu“ Królowi, jak i posłom sejmowym, jeśli tego będą żądać.“

Zaraz po tym liście Siewersa do Tyszkiewicza, generał Rautenfeld rozkazał księciu Cycjanowowi, sprowadzić z obozu pułk nasz do miasta. Rynek, bulwar i droga wiodąca do Zamku wnet obsadzone zostały żołnierzem, a dwa bataljony rozlokowały się w Zamku. U wrót do Zamku, zostawionych wolnemi, odprzodkowano działa pułkowe a bombardjerom kazano stanąć z zapalonymi lontami. [1])

Było to przed południem, a o południu hr. Siewers odbył przegląd wojsk i *osobiście* sprawdzał, o ile są wypełnione rozkazy jego, t. j. o ile są strzeżone wszystkie wejścia do Zamku. Zwoławszy nadto oficerów załogi, zwiedził z nimi wszystkie korytarze i sale zamkowe, wskazując przytem detalicznie każdemu, co i jak ma robić — gdzie, ilu i jak postawić żołnierzy na warcie i t. d. Rautenfeldowi wskazał gdzie i jak ma siedzieć, przyczem wydał mu instrukcję, „jak ma poczynać wspólnie z marszałkiem Tyszkiewiczem dla zachowania spokojności i porządku w sejmie. [2])

Nie dochowały się do nas wprawdzie dzienne rozkazy pułku petersburgskich grenadjerów z owych czasów, lecz z raportów generała Rautenfelda widać, że odebrał on rozkazy od Siewersa bezpośrednio. Rautenfeld, awansowany przed sejmem na generała, a będący do tego w blizkich z Siewersem stosunkach, zarządzał garnizonem samodzielnie, jedynym był jego dowódzcą, a że był energicznym dowódzcą, to widać ze wszystkiego. Nasz pułk grenadjerów uważał za swój własny, za swoją kreację, bo on to formował go w Pskowie i prawie ciągle był przy nim.

W mieście nie wiedziano nic, co się właściwie działo. Delegatom, którzy nie czytali listu Siewiersa, zdawało się, że odbywa on „coś w rodzaju parady wojskowej“; gdy więc o 4-tej popołudniu poczęli się schodzić i dowiedzieli się o prawdzie, wielu z nich, nie chcąc brać w posiedzeniu udziału, pragnęło wrócić do domu.

[1]) Kostomarow: «Ostatnie lata Rzeczyposp. Polskiej.«

[1]) Kostomarow: «Ostatnie lata Rzeczyposp. Polskiej.«

[1]) «Zapiski Engelhardta.« M. 1867.

[2]) Kostomarow: «Ostatnie lata Rzeczyposp. Polskiej.«

Nota Siewersa obiegając z rąk do rąk, wzbudzała powszechne oburzenie. Przeznaczeni oficerowie nasi do siedzenia w sejmie, zajęli swe miejsca prędko lecz w rozmowy nie wdawali się wcale. Posłowie zebrawszy się wszyscy i dowiedziawszy dokładnie jak rzeczy stoją, chcieli salę opuścić, lecz nie mogli. Grenadjery nasze skrzyżowawszy bagnety z krzykiem „nie wolno“, zagrodzili im drogę; a gdy to nie pomogło i posłowie nie zważając na zaporę, hurmem do drzwi sunęli, grenadjerowie zagrozili im wyraźnie, że jeżeli tylko na swe miejsca zaraz nie wrócą, to będą ich kolbami walić po łbach ogolonych [1]). Nikt jednak szwanku nie odniósł; trzeba bowiem wiedzieć, że wydany był rozkaz: ażeby żołnierze nie używali na serjo broni w sposób palny, a tylko murem stali na swych miejscach, grożąc najeżonym bagnetem, bo inaczej byłby za wielki rozgłos.

Oficerowi nasi, według opowiadania jednego z widzów współczesnych, siedzieli w sejmie jakby posągi jakie. Jeszcze dnia wczorajszego, na dzień przed posiedzeniem, wielu z nich hulało z niektórymi posłami. Wielu z nich miało też i znajomych wspólnych. Ale skoro nazajutrz przyszło pełnić służbę, a w łonie sejmu powstała frakcja, nie chcąca na żaden sposób uledz wymaganiom rządu rosyjskiego, oficerowie wysłani do sejmu dla podtrzymania honoru i godności reprezentantów Rosji, tak się zachowali w sali rozpraw, jak gdyby nigdy nic wspólnego z Polakami nie mieli. Wymogi dyscypliny wraz z poczuciem obowiązku, a nareszcie ważność chwili, gdy wszystko zależało od wytrwania przy swojem i od taktu, nakazywał oficerom postępować oględnie, z krwią zimną, by zachowaniem się swojem pobudzić też i żołnierzy do podobnejże postawy. Jedno słowo zbyteczne mogło spowodować wybuch — i na szczęście nikt słowa tego nie wyrzekł. Dla honoru deputowanych sejmowych należy wyznać, że żaden z nich, nawet wzrokiem, ani razu nie obraził warty naszej, częścią wprowadzonej do sali rozpraw, a częścią u drzwi stojącej. Korzystając z nadanej przez ambasadora naszego wolności słowa, skoro król z tymże weszli do sali i zajęli miejsca wyznaczone, posłowie na wstępie oświadczyli, że nie należy zagajać posiedzenia wprzód, nim wojska nasze nie będą usunięte. Czyniąc zadość prośbom króla, Siewers zgodził się nareszcie, ażeby oficerowie nasi opuścili salę rozpraw i wyszli do sal bocznych, ale co do Rautenfelda to temu kazawszy pozostać, oświadczył sejmowi, że dopóki nie będzie przyjętym projekt traktatu z Prusami, dopóty ani jeden żołnierz rosyjski nie opuści zamku. To powiedziawszy, wstał, ukłonił się królowi i sejmującym, i wyszedł z sali[2]).

W chwil kilka potem, a mianowicie, około godziny dziewiątej, hrabia przysłał jeszcze jedną notę, tą razą wprost do sejmu, treści podobnej co Tyszkiewiczowi, w której pomiędzy innemi było powiedzianem: „że dla zachowania należytego porządku i spokojności, zmuszonym się widzi koniecznie kazać otoczyć zamek przez dwa bataljony grenadjerów wraz z 4-ma działami [3]). Generał Rautenfeld obejmie nad niemi komendę. W końcu hrabia wyraził „nadzieję“, że posiedzenie nie będzie zamkniętem, dopóki sejm nie zgodzi się na przyjęcie traktatu z Prusami [1]).

Blizkie sąsiedztwo grenadjerów, niemożność opuszczenia sali, wzajemne rachunki i zarzuty, nieobecność arbitrów — tej tłuszczy zawsze gotowej do wszelakich skandalów — wszystko to razem wzięte zmusiło nareszcie posłów zdecydować się na przystąpienie do głosowania. Ordynanse i kurjery Siewersa co chwila wpadały do sali sejmowej, i schwyciwszy to jednego to drugiego posła, wiedli pod konwojem do niego. Niektórzy posłowie korzystając z tej „asystencji“, zdołali jakoś umknąć i gdzie kto mógł pouciekali, ale nie na długo, bo kazano zaraz ich ścigać i łapać, a złapawszy, pod konwojem napowrót na salę prowadzić. Czterech takich posłów co się opierali wracać do sejmu, schwytał i przyprowadził osobiście pod strażą bagnetów major Brier-del-Marte. Major ten najwięcej się odznaczył w tym dniu pamiętnym, pomiędzy oficerami naszymi. On też a nie kto inny złapał i dostawił do sejmu Platera i Ledóchowskiego. Musieli usłuchać; a Plater znalazłszy się w sejmie miał nawet mowę o powinnej wdzięczności dla jej imperatorskiej mości imperatorowej Katarzyny. Po ukończeniu sprawy, t. j. gdy traktat z Prusami został nakoniec przyjęty, hrabia kazał bataljonom opuścić zamek i rozejść się na kwatery [2])

Nie skończyły się jednakże nieporozumienia w sejmie. Hrabia Siewers „przetrzymawszy sejm pod kluczem całe godzin dwanaście“, był bardzo kontent. Zaraz bal wydał, na którym „głaskał i pieścił“ wszystkich zaproszonych Polaków. W dniu urodzin imperatorowej wydał pyszny bankiet, na który król odpowiedział niebawem nie mniej pysznym obiadem wydanym dla Rosjan. Bale, wieczory i widowiska, następowały po dawnemu bez przerwy, ale traktat z Prusami nie mógł jakoś doczekać się ratyfikacji potrzebnej. Naprożno Buchholtz nalegał na sejm, ażeby ratyfikowano czem prędzej; po posiedzeniu z 22. sierpnia sejm przeszedłszy do innych spraw stojących na porządku dziennym, zamiast traktatem zajął się pomiędzy innemi rozpatrzeniem traktatu handlowego.

Dnia 21 września n. st. w sobotę przedłożył Buchholtz sejmowi notę z oświadczeniem, że rząd jego surowo nakazał mu załatwić naprzód kwestję traktatu rozbiorowego, a dopiero potem przystąpić do handlowego. Siewers w charakterze ambasadora „dworu pośredniczącego i przyjaznego“ poparł żądanie Buchholtza. Lecz pomimo tego poparcia, sejm postanowił tą razą nie zgadzać się za żadne skarby świata. Zdaje się, że i król trzymał tu z opozycją, zgodzono się tedy na wysłanie prożby do hrabiego Siewersa, by cofnął swój rozkaz.

Następne posiedzenie wyznaczono na poniedziałek 23. września. Niektórzy z posłów sejmowych, przeczuwając, że nie obejdzie się bez powtórzenia scen z pamiętnego posiedzenia w sierpniu, postanowili uciec z miasta. Należało czemprędzej przedsięwziąć wszelkie środki zapobiegające tak niebezpiecznym zamiarom, bo inaczej sejm mógł się rozlecieć, a wtedy i nasz rozbiorowy traktat straciłby swoją legalność. Znów tedy grenadjerzy zjawili się na scenie — i znów wszędzie patrole, rondy i straże, przyczem Rautenfeldowi nakazał hrabia na kilka godzin przed posiedzeniem, t. j. w nocy z 22. na 23. z niedzieli na poniedziałek, aresztować wszystkich najniebezpieczniejszych „krzykaczy“: Szydłowskiego, Skarzyńskiego, Mikorskiego i Krasnodębskiego — a nazajutrz w poniedziałek grenadjerzy znów otoczyli zamek i znów postawiono u bramy 4 armaty — kanonierowie na miejscach, lonty ciągle zapalone...

Nie poprzestając na tem, podzielono miasto na części i każdą część taką w celu utrzymania porządku oddano pod nadzór dowódców rozlokowanych tamże kompanji. Wznowiono nakaz, ażeby bez osobnego na to pozwolenia, podpisanego przez samego Siewersa nikt nie śmiał wjeżdżać lub wyjeżdżać z miasta. Każdego, któryby chciał się przekraść konno, pieszo lub powozem, kazano aresztować i do turmy sadzać. Patrole kozackie i konnych karabinierów — bo i tych ściągnięto — nieustannie krążyły po mieście. Hrabia przesłał notę sejmowi usprawiedliwiającą powody, dla których niezbędnemi się okazały nowe aresztowania i nadzwyczajne środki, które nakazał jedynie w celu utrzymania porządku i spokojności publicznej. Struchleli posłowie na ponowny widok bagnetów i armat. W głębokiem milczeniu cicho przesuwali się pomiędzy ławkami i zajmowali miejsca [1]).

Postanowiwszy pozbyć się posłów niesfornych, t. j. aresztować ich i odwieźć do powiatów, z których byli wysłani, wykonanie postanowienia tego zdał Siewers jak zwykle na Rautenfelda, co też ten czasu nie tracąc dokonał bardzo zręcznie w nocy. Wyciągani z łóżek posłowie, nie stawili czynnego oporu, lecz nie obeszło się za to bez protestacji biernej. Krasnodębski naprzykład powiedział, że dobrowolnie nie wyjdzie z mieszkania; kazał więc oficer żołnierzom schwycić go na ręce jakby kłodę jaką i wrzucić do bryczki, która jak zwykle w podobnych wypadkach zawczasu już była przygotowaną i na ulicy czekała. Krasnodębski miał tylko płaszcz na sobie i drżał od zimna, bo było już chłodno nocami; oficer tedy poradził mu, ażeby kupił sobie jakie futro na drogę, bo inaczej może się przeziębić i zachorować. „W Syberji futra są tańsze“ — odparł Krasnodębski ponuro. A gdy mu powiedziano, że nie na Sybir pojedzie, lecz do siebie "za piec", do domu, to i to nic nie pomogło, wciąż podawnemu wymyślał. Wsadzono go tedy na bryczkę pocztową, oficer siadł obok, kozacy otoczyli bryczkę i pojechali. Trzeba wiedzieć, że każdego podobnego posła odstawiono na miejsce zamieszkania nie inaczej jak tylko pod silną eskortą kozaków, lub karabinierów konnych [2]).

W owoczesnych raportach nieraz się spotkać można z nazwiskiem porucznika Deruchina, który według „Pamiętników“ odznaczał się osobliwszą gorliwością w spełnianiu rozkazów Rautenfelda [3]). Według przechowanych list służbowych „(formularnych spisków)“ rzeczywiście w pułku znajdował się podówczas oficer tegoż nazwiska, a mianowicie był on nie porucznikiem lecz tylko nadetatowym chorążym „(pra-

[1]) «Pamiętniki z XVIII. wieku. Archiwum sztabu głównego.

[2]) Ibidem. Pamiętnik (cesarska publiczna Bibljoteka).

[3]) Widać z powyższego, że nie 2 bataljony i dział 4, lecz 4 bat. i dział 8 użytemi były: połowa z nich w samym Zamku, a druga otaczała Zamek.

[1]) «Pamiętniki« (cesarska publiczna Bibljoteka).

[2]) Ibidem. Pamiętnik (cesarska publiczna bibljoteka).

[1]) Kostomarow: ibidem. Iłowajski: ibidem. «Pamiętnik Engelhardta.«

[2]) Iłowajski, ibidem.

[3]) «Pamiętnik« (Archiwum główne ogólne generalnego sztabu).

porszczyk", pierwszy stopień oficerski). Tego chorążego Deruchina spotkało później nieszczęście; podczas wypadków warszawskich d. 18 i 19 kwietnia roku następnego buntownicy wzięli go byli do niewoli, i trzymali wraz z innymi niewolnikami, aż póki go Suworów nie uwolnił [1]).

Zaledwie otwarto posiedzenie poniedziałkowe posłowie sejmowi, poraz dziesiąty może w tym sejmie pamiętnym, zażądali uwolnienia porwanych kolegów swoich, a dalej usunięcia wojska i armat z zamku. Król posłał powiedzieć ambasadorowi: „że chociaż sejm znajduje się pod grozą niebezpieczeństwa, lecz pomimo tego wszyscy jak jeden postanowili nie przystępować do porządku dziennego, dopóki porwani w nocy nie będą zwróceni sejmowi". „Nie ma sejmu; obrady są niemożebne pod grozą bagnetów!" — krzyczano z ław poselskich. Posłowie aresztowani, sejm otoczony żołdactwem moskiewskiem!... Prawo zabrania w podobnych obradować warunkach! Opuśćmy raczej salę, a nie przyczyniajmy się do nieszczęść Ojczyzny!... Okażmy światu całemu, że możemy być zgnieceni, lecz nigdy nie będziemy podłymi. Słuchajmy prawa, i wytrwajmy przy obowiązku!... — wołał poseł Gosławski, opuszczając ławę i zwrócił się ku drzwiom. [2])

Widząc to generał Rautenfeld, siedzący blisko króla, w pełnym mundurze i cały w orderach, powstał i krzyknął na grenadjerów, postawionych u drzwi, by Gosławskiego przepuścili, ale tylko jego jednego, a każdemu innemu, którzyby chciał naśladować go, najeżyli bagnety i nazad do sali wrócić zmusili. Powstało zamięszanie pomiędzy posłami i nie wiedzieli co począć. Usiedli, i calutką godzinę siedzieli w najgłębszem milczeniu, a król także milczał, a tymczasem oficerowie nasi bezustannie latali po sali sejmowej, korytarzach, lub salach pobocznych, co chwila roznosząc do wart rozstawionych rozkazy Rautenfelda. [3])

Zmrok zapadł, a wkrótce i noc ciemna, a sejm jak zaklęty milczy. Zapalone lonty przy działach u bramy wchodowej, złowrogo oświecają okna zamkowe. Z nadejściem zmroku kazano po korytarzach wzmocnić warty i straże, i zdwoić gorliwość. Najzupełniejsza cisza zapanowała dokoła, tylko słychać krok miarowy szyldwachów, lub chrzęst karabinów warty oddającej oficerom honory, a gdy większy szum nieco dawał się słyszeć, znaczyło to, że warta po dwugodzinnem staniu przez świeżą została zmienioną. U wrót i dokoła zamku co kwadrans dawały się słyszeć zwykle przeciągłe wołania szyldwachów „słuszaj"!"... (pilnuj!...) — męczącemu wyczekiwaniu nie było widać końca.

Rautenfeld napomniał króla, że posiedzenie musi być rozpoczętem. Król odparł: „Nie mogę zmusić ich do mówienia" — i znów posiedzenie trwa w milczeniu. Żaden z posłów ust nie otwiera, postanowili widocznie wytrwać przy swojem. Było to posiedzenie w całem znaczeniu tego wyrazu „nieme". Żaden z posłów nie posunął się do kroku, któryby mógł spowodować użycie z naszej strony wojska [4].)

[1]) Archiwum uczono-wojenne. Oddz. II. Relacje i raporty do Sołtykowa, Nr. 220.

[2]) Kostomarow: ibidem.

[3]) Ibidem.

[4]) Kostomarow, Iłowajski.

Wyprawioną była deputacja do Siewersa — rozumie się deputacja pod eskortą bagnetów — z zapytaniem: „Co będzie w razie, gdy sejm większością głosów odrzuci cały traktat z Prusami?" „Wydałem już na podobny wypadek stosowne rozkazy generałowi Rautenfeldowi — odpowiedział Siewers — i on z grenadjerami będzie wiedział, jak już sobie postąpić". Deputacja wróciwszy, zawiadamia sejm o odpowiedzi ambasadorskiej. Choćby jeden głos się odezwał! — milczenie ogólne. „No, jakże, projekt będzie odczytany lub nie?" — pyta Rautenfeld. „Sejm nie może się uważać za otwarty, a to z powodu wojsk cudzoziemskich. Gdy nie pozwalają mówić według przekonania i obowiązku milczenie staje się najlepszym środkiem". Taką dano odpowiedź Rautenfeldowi. Milczenie wciąż trwa dalej, i chociaż już po trzeciej w nocy, nikt ani oka nie zmrużył, ani zdrzemnął się nawet. Rautenfeldowi zaczęło brakować cierpliwości; nie mógł już dłużej wytrzymać, i co chwila wstawał, przechadzał się i znów niecierpliwy siadał. Zbliżywszy się nareszcie do tronu, prosi króla: „Wasze Wieliczestwo, nakażcie czytanie projektu". Król zarządził czytanie, ale wszczął się hałas, i znów się na niczem skończyło. Zniecierpliwiony do ostatka Rautenfeld krzyknął grożącym głosem: „że jeżeli natychmiast projekt odczytanym nie będzie, to zostanie zmuszonym postąpić według wydanych mu rozkazów". Zarządzono czytanie projektu, odczytano już — a oni ciągle milczą. Choćby kto krząknął! — znów milczą co do jednego i znów nikt ani się poruszył nawet. [1])

Pozostawiwszy tedy na swe miejsce jednego z obecnych dowódców batalionowych, by pilnował sejmu i nie pozwolił mu uciec, Rautenfeld wyszedł, dopadł konia, do Siewersa poleciał, a powróciwszy oświadczył głosem podniesionym: „że wszyscy bez wyjątku jak są członkowie sejmu, powinni dopóty siedzieć w sali sejnowej, dopóki rzecz nie zostanie skończoną i traktat podpisany. W przeciwnym razie upoważnionym jest od ambasadora przedsięwziąść pewne znane mu środki". A zwracając się do marszałka sejmu (Stanisława Bielińskiego, cześnika kor.) dodał: „i same nawet Jewo Wieliczestwo Król, i wszyscy panowie senatorowie jeśli chcą tego, będą spać na słomie i nie wyjdą z sali, dopóki nie stanie się zadość żądaniom pana ambasadora Imperatorowej Katarzyny". Ale i ta groźba nie odniosła skutku!

Generał Rautenfeld tedy skinął na dowódców batalionu, kazał im się zbliżyć, szepnął im coś i dowódzcy wyszli. Na podwórcu zamkowym i na korytarzach wewnątrz zamku, dał się słyszeć szczęk broni. Lecz skoro tylko sekretarz począł czytać projekt i doszedł do słowa „Król", wnet sypnęły się przekleństwa i wrzaski patrjotów, nie chcących na żaden sposób dopuścić do otwarcia posiedzenia. Król zemdlał i rozchorował się na prawdę. [2]) Generał Rautenfeld kazał przynieść baljonu i wina, poczem „Jego Wieliczestwu" nieco się lepiej zrobiło. Skoro tylko poczynano czytanie projektu, zaraz po dawnemu dawały się słyszeć wołania: „Sesja nie zagajona, sesja niezagajona!"... poczem posłowie znów na swe miejsca siadali i znów rozpoczęła się cisza grobowa. Nareszcie Rautenfeld stracił już zupełnie cierpliwość! Podszedł po raz ostatni do tronu i prosił króla, aby kazał rozpocząć debaty nad tylko co odczytanym projektem, ale król po dawnemu rzekł: „Nie mam władzy zmuszania posłów do mówienia, gdy oni sobie tego nie życzą". W takim razie użyję środków, jakie mi nakazano, każę wejść grenadjerom", odparł generał i wyleciał z sali [1]).

[1]) Kostomarow: ibidem.

[2]) Iłowajski: ibidem.

Na korytarzach rozległy się gromkie komendy „Smirno"!... (baczność!) — i wszystkie warty stanęły pod bronią. Siedzący w sali słyszeli stuk kolb i chrzęst bagnetów... Z podwórza dolatywały głośne rozkazy dowódców prowadzić na dworze stojące kompanje spiesznie do sali.:.

Ukorzyli się patrjoci; marszałek sejmowy szparko podniósł się z miejsca swojego, i zaproponował podpisanie traktatu. Kilka słabych głosów zawołało: „nie podpisywać!" Lecz marszałek ponowił propozycję, i tą razą nikt się już nie odezwał, wszyscy milczeli. W tem Rautenfeld otwiera drzwi i wchodzi. „Kto milczy, ten się zgadza — takiemi słowy powitał wchodzącego Rautenfelda marszałek — projekt przyjęty jednomyślnie"... [2])

Zmieniły się dekoracje. Rozstąpiły się szeregi grenadjerów i królowi, opuszczającemu salę oddały należne honory wojskowe. Czemprędzej do Siewersa poleciał goniec umyślny z radośną nowiną, że projekt został nareszcie przyjęty. Dzięki powściągliwości Rautenfelda sprawa została załatwioną bez interwencji bagnetów. Ratyfikacja nastąpiła 10. października. Posłowie sejmowi na wychodnem z sali nie spotkali przeszkód; pozwolono im wrócić spokojnie do mieszkań przez nich zajmowanych. Wielu z nich płakało. Inni znów, przechodząc koło oficerów naszych, mówili: „można szanować nawet i takich ludzi, którzy są dla nas nieprzyjemnymi; jeślibyśmy byli podobnie mężni i stali, jak wasz ambasador, bylibyśmy i my również wiernymi synami Ojczyzny, jakimi wy jesteście"... [3])

Było już dobrze po czwartej, gdy opuszczał salę ostatni poseł; w kościołach dzwoniono już na jutrznię. Żołnierze nasi byli bardzo zmęczeni, i nie dziw; stali przecież pod bronią przez całe godzin dwadzieścia i cztery, o głodzie i chłodzie. Lonty wypaliły się do szczętu; trzeba było nowe pozakładać. Poranek był bardzo chłodny; wielu drżało od zimna. [4])

Żołnierzom kazano wracać na kwatery plutonami. Radzi byli, że się skończyło i żartowali z przechodzących mimo posłów: „Ach panowie, panowie!... Wam tylko jedno ciągle w głowie: „do lasu i do lasu". A mówili tak ci, co stojąc u drzwi prowadzących do sal sejmowych, lub w korytarzach, i nie rozumiejąc dobrze po polsku, słyszeli tylko jak wołano: „do laski, do laski"". Zdawało się im, że posłowie tak samo, jak buntownicy w roku zeszłym, co się po lasach kryli, a za którymi uapróżno się tyle naupędzali, również chcieli uciekać do lasów. [5])

W ten sposób odbył się jeden ze znakomitszych przewrotów politycznych, w którym grenadjerowie sankt-petersburscy brali tak znaczny, czynny i bezpośredni udział.

[1]) «Pamiętniki Engelhardta.«

[2]) Kostomarow: ibidem.

[3]) Kostomarow: ibidem.

[4]) Gąsiorowski: ibidem.

[5]) Pamiętnik z XVIII. wieku (cesarska publiczna Bibljoteka).

KORZYŚCI POLIGAMJI.

SIMPSON Z BASSORY.

Opowiadanie humorystyczne

JAMESA PAYN.

(z angielskiego.)

Nie ufam w ogóle wszystkim podróżnikom. Nie z powodu ich skłonności do opowiadania przygód, które nigdy się nie zdarzyły, bo postępowanie takie stało się niebezpiecznem: dzisiaj, gdziekolwiek kto pojedzie, inni byli tam także i łatwo jest przekonać się o prawdziwości ich słów. Moja nieufność pochodzi przeciwnie z pojęć, jakie sobie wyrobiłem w kwestji przygód, o których nam nie opowiadają. Pytam się, ludzie ci, którzy opuszczają kraje cywilizowane, którzy nie potrzebują już liczyć się z opinią publiczną, do czegoż nie są zdolni? Między nami mówiąc, sam fakt, że się jest podróżnikiem jest złym znakiem. Dla czegoż nie pozostać na łonie swej rodziny, albo jeżeli się nie posiada żadnej, dlaczego nie stworzyć jej sobie? Jest to obowiązkiem obywatelskim. Kiedy student ucieka ze szkoły, można mu przyznać energję, odwagę, charakter niezależny, ale najczęściej nie jest to to, co nazywają poczciwym chłopcem. Może który naród zawdzięcza rozwój swej żeglugi tego rodzaju zbiegom; lecz nie z patrjotyzmu wsiadają oni na okręt i powierzają się morzu; czynią to, bo czują niesmak do obowiązków swoich na ziemi, wreszcie zaledwie znajdą się na pokładzie, sami przyznają, jaką niedorzeczność popełnili. Nikt nie jedzie do Tataryi albo Kamczatki dla kształcenia umysłu. Gdyby jaki podróżnik chwalił się przedemną celem tego rodzaju, roześmiałbym mu się w oczy (nb. gdybym się nie bał, że wyciągnie z pod płaszcza jatagan albo jaką inną broń egzotyczną); nie,— udaje się w okolice nieznane dlatego, że więzy cywilizacji mu ciężą, albo dla tego, że ma jakieś upodobania potworne, do których nie śmie się przyznać.

Człowiek z najłagodniejszem usposobieniem jakiego kiedykolwiek spotkałem, a jednocześnie największy podróżnik, przyznał mi się pewnego dnia w klubie, po doskonałym obiedzie, że pomimo wszystko nie ma nic lepszego, nad surowe mięso. Nie powiedział mięso ludzkie, ale zrozumiałem dobrze o czem myślał. Żałował że zaszedł tak daleko i starał się mnie uspokoić przybierając głos i ruchy zwyczajne, ale nie udało mu się mnie oszukać. Widziałem jak dziwne spojrzenia rzucał na ludzi tłustych i pucołowatych; i za nic w świecie nie zostawiłbym go samego z mojem dzieckiem. Biedne maleństwo zajęłoby miejsce w opowiadaniach o tajemniczych zniknięciach.

Jeżeli uważacie moje obawy za przesadzone, wolno wam; są ludzie mniej niedowierzający niż inni, a także bardziej łatwowierni.

Jestem zresztą sprawiedliwy, i nigdy nie żywiłem niesłusznych uprzedeń względem tych, którzy mimo swej woli, są zmuszeni zwiedzać odległe krainy. Posłowie królowej, marynarze, skazani na deportację, mogą być bardzo porządnymi ludźmi, gdziebądź ich popchnie przeznaczenie.

Jeden z najlepszych chłopców, jakich znałem i najspokojniejszych, był Simpson Bassora. Chodziliśmy razem do szkół czterdzieści pięć lat temu, a chociaż jego dom handlowy jest w głębi Azji, spotykałem go od czasu do czasu podczas jego wycieczek perjodycznych do Anglji i znajdowałem zawsze tym samym, miłym, bez pretensji skromnym i umiarkowanym w przekonaniach. Dom nasz wchodził z nim niekiedy w interesa handlowe, ale nasze stosunki były przedewszystkiem towarzyskie. Moja żona i córki mają do niego słabość i znajdują przyjemność w jego opowieściach perskich, tak malowniczych i pełnych miejscowego kolorytu. Przywozi on im małe flakoniki perfum, a od czasu do czasu jaki szal, który obudza zazdrość w ich przyjaciółkach.

Jednakże nigdy nie byłbym pomyślał o Simpsonie jako o możliwym zięciu, gdyby moja żona nie wbiła sobie tej myśli w głowę.

Mieszkał za daleko, i chociaż zarabiał, nie sądziłem ażeby miał dosyć, żeby wrócić do Anglji i w niej się osiedlić. Jego dochód roczny stanowił bardzo ładną summę, ale dawał mi do zrozumienia, że życie było drogie w okolicach zatoki perskiej i że niepodobna tam wiele oszczędzić. Słowem Simpson nie robił na mnie wrażenia człowieka na ożenieniu. Gdy mówiono przy nim o małżeństwie, miał na ustach ten uśmiech suchy, szyderczy, sceptyczny, który zdradza zawziętego zwolennika celibatu.

Nie mam potrzeby opowiadać, dla jakich powodów zdecydowałem się poruszyć z Simpsonem kwestję matrymonialną. Dość powiedzieć, że nie działałem z własnej woli. Moja żona dała mi instrukcje; uparła się przy swoim zamiarze co do Joanny, naszej drugiej córki i poleciła mi wyrozumieć Simpsona. „Usłyszeć to być posłusznym“, jak mówią w Bassorze.

— Mój kochany Simpson — rzekłem do niego gdy po małym obiadku u mnie tłukliśmy orzechy, mój kochany Simpson, dziwi mnie niezmiernie, że człowiek jak ty, mający znaczne dochody i ładny dom, mógł nigdy nie pomyśleć o ożenieniu. Musi być smutno tam samemu.

— Zapewne — odrzekł Simpson spokojnie — ale dzięki Bogu jestem żonaty od lat dwudziestu.

— Żonaty od lat dwudziestu! Zdumiewasz mnie! Dlaczego nam nigdy o tem nie mówiłeś?

— Nie wiem; myślałem, że was to nie zajmie. Ożeniłem się w Persji, z tamtejszą kobietą; gdybym się był ożenił w Europie, byłbym wam powiedział.

— W Persji, mój drogi, jak mi to wydaje się zabawnem!

Powiedziałem „zabawnem“, lecz jednocześnie powracały do mego umysłu wszystkie uprzedzenia, jakie kiedykolwiek żywiłem względem podróżników i osób wyrzekających się cywilizacji.

— Teraz, kochany Simpson, jeżeli cię nie obrażę tem pytaniem, powiedz mi, jakiego koloru są twoje dzieci?

— Nie mamy dzieci odpowiedział mi z niezachwianym spokojem, — nie mieliśmy nigdy.“

Nie wiem dla czego, lecz uważałem, że to było zacnem ze strony Simpsona. Bardzo źle postąpił zaślubiając Persankę, może czcicielkę ognia, a w najlepszym razie muzułmankę; ale myśl, że poprzestał na tem, była pocieszającą. Przykro by mi było wyobrażać sobie mego przyjaciela Simpsona otoczonego całą gromadą dzieciaków krwi mięszanej, które może wyrósłszy przyjęłyby wiarę matki — tem przykrzej, że znajdował się w tej chwili pod moim dachem, pod jednym dachem z moją żoną i dziećmi i że byłem inspektorem kościelnym w naszej parafji.

Porzuciłem kwestję osobistą małżeństwa Simpsona, ażeby przejść do ogólnej kwestji.

— Czy Persowie mają po kika żon? —zapytałem.

— Tak — odrzekł — ci, których majątek na to wystarcza; lecz nie zdarza się to tak często, jakbyś mógł przypuszczać.

— Nie potrzebuję dopytywać się do czego doprowadza ten zwyczaj obmierzły. Bezwątpienia do niezgody domowej.

— Nie potrzebujesz pytać, rzeczywiście, — odpowiedział Simpson gryząc orzechy. - Lecz jeżeli chcesz wiedzieć, to muszę wyznać, że ta rzecz ma się jak w małżeńsswach europejskich. Czasem jest to klęską, a czasem nie jest. Może być, że tam potrzeba jeszcze więcej ostrożności zanim uczyni się wybór; należy nie tylko radzić się własnego gustu, lecz stosować się także do wymagań innych żon swoich.

— Boże miłosierny! — zawołałem. — Jak zimno mówisz o tem wszystkiem! Spodziewam się, że żaden z Europejczyków przemieszkujących wśród tego dziwnego społeczeństwa nie przyjął podobnych zwyczajów?

— Jedni je przyjmują, drudzy nie, odpowiedział Simpson. — Co do mnie, żyłem piętnaście lat w Persji z jedną żoną zanim poślubiłem drugą.

— Co! ożeniłeś się po raz drugi, za życia pierwszej żony?

— Właśnie, — odpowiedział bezczelnie. Potem, zgarnąwszy łupiny orzechów na talerz i nalawszy sobie szklankę sherry, dodał:

— Mam teraz cztery żony.

— Niech cię Pan Bóg sekunduje! — zawołałem. — Cztery żony!

— Tak. Może jesteś ciekawy historji mego małżeństwa. Jeżeli cię nie nudzę, to ci ją opowiem.

Nawet chocbym chciał odmówić nie byłbym słów znalazł. Cztery żony Simpsona pozbawiały mnie przytomności. Podróżnik, który lubił mięso surowe przeraził mnie, lecz było to niczem w porównaniu z tem nowem wyznaniem. Człowiek, dla którego uczuwałem zawsze najwyższy szacunek! Człowiek o którym moja żona myślała dla naszej Joanny!

— Było to — rzekł — na pikniku urządzonym na wsi w okolicy Bassory. Byliśmy tam oboje, moja żona i ja, a że z mojemi pojęciami europejskiemi nie sądziłem, ażebym mógł się złapać, gdy byłem już żonaty, zacząłem nadskakiwać jakiejś damie perskiej. Nie była ona ani młodą, ani ładną i podobną dosyć do tego, czem moja żona stała się z laty, a tak myślałem o tem ażeby z niej zrobić numer drugi, jak o przyjęciu mahometanizmu. Na nieszczęście źle zrozumiano moje grzeczności; brat tej pani, człowiek charakteru gwałtownego i oficer w kawalerji szacha, wiedząc że jestem majętny, nalegał ażebym został jego szwagrem. Zdaje mi się, że małżeństwa irladzkie odbywają się często w ten sam sposób; cała różnica, że miałem już żonę, i do tego żonę mocno zdecydowaną nie pozwolić mi na drugą. Oszczędzam ci opisu kłopotów, przez które przejść musiałem. Mając z jednej strony moją żonę numer pierwszy, z jej wyostrzonym językiem, a z drugiej oficera szacha z niemniej wyostrzoną szpadą, znajdowa-

łem się, daję ci słowo, w bardzo nieprzyjemnem położeniu.

— Ostatecznie, poślubiłem Kalhedę. Przykro mi wyznać, że te dwie damy były od początku w bardzo złych stosunkach. Pewien rozumny człowiek powiedział, że gdy kobieta dochodzi do lat czterdziestu, mąż powinien mieć prawo wymienienia jej na dwie kobiety dwudziestoletnie, tak jak się zmienia czterdziestofrankówkę na dwie sztuki po dwadzieścia franków. Zgadzam się, że to byłoby rzeczą rozkoszną. Na nieszczęście, miałem dwie żony po czterdzieści lat każda, i nie miałem najsłabszej nadziei zmienienia lub pozbycia się ich w jakikolwiek sposób.

„Pirouzé i Kalheda uczyniły mi piekło z domu. Kłóciły się od rana do nocy. Nadzieja którą żywiłem potajemnie, że chociaż jedną z nich uczynię moim sprzymierzeńcem, okazała się próżną, obiedwie obchodziły się ze mną w sposób wcale nie uprzejmy. Były przyczyną bardzo wielu moich wydatków i bardzo niewielu przyjemności. Moje położenie stawało się nieznośnem, i ponieważ nie mogłem dogogodzić żadnej z nich, postanowiłem dogodzić samemu sobie zaślubiając mój numer trzeci.

— Przypuszczam, że numer trzeci miał dwadzieścia lat, wtrąciłem, zajęty na przekór samemu sobie tem szczerem opowiadaniem.

— Tak, albo przynajmniej to co odpowiada dwudziestu latom u Angielki; lecz w Persji panny wychodzą daleko wcześniej za mąż. Było to zachwycające stworzenie; kosztowała mnie...

— Co! kupiłeś ją! — zawołałem ze zdumieniem i wstrętem.

— Właściwie nie. Jednakże ojciec jej domagał się pięknego prezentu, a matce jej, siostrom i gubernatorowi Bassory musiałem zapłacić znaczną summę. Jest to tam szczególny zwyczaj: gdy ktoś się żenił już dwa razy, rząd nakłada wysoką taksę na następne małżeństwa. Lecz Badoura warta była tego; śpiewała bosko, lub przynajmniej byłaby śpiewała, gdyby dni całych nie przepędzała na płaczu. Pirouzé i Kalheda czyniły ją okropnie nieszczęśliwą. Do tej pory żyły w śmiertelnej nienawiści. Pojednały się aby prześladować biedną Badourę; życiu jej nawet zagrażało z ich strony niebezpieczeństwo. Mój los był dotąd smutnym, teraz stał się nieznośnym, bo lepiej jest cierpieć samemu, niż patrzeć na cierpienia tych których kochamy.

Simpson wyjął chustkę i przycisnął ją do oczu, potem ciągnął dalej.

— Tak mój drogi przyjacielu, te dwie kobiety czyniły moją biedną Badourę nieszczęśliwą. Nie mogłem jej obronić, bo nigdy nie miałem silnych muskułów, i zdaje mi się, że byłaby uległa prześladowaniu, gdybym był nie poślubił Zobeidy.

— Numer czwarty? — zapytałem zdziwiony; — pocóż u djabła to czwarte małżeństwo?

— Poślubiłem Zobeidę wyłącznie i jedynie dla miłości Badoury. Wybrałem ją, nie dla jej piękności, cnót lub talentów, lecz dla jej siły i potężnych pięści. Powiedziałem: Zobeido, jesteś młoda i silna. Czy będziesz opiekować się moim barankiem, jeżeli się z tobą ożenię? Odpowiedziała: Będę się opiekować. Był to najlepszy interes, chciałem powiedzieć najlepszy wybór, jaki zrobiłem. Moje mieszkanie jest teraz przybytkiem spokoju. W jednem skrzydle domu mieszkają Pirouzé i Kalheda, w drugiem Zobeida i Badoura, dwie na wschód, dwie na zachód. Chociaż Pirouzé i Kalheda są silnemi kobietami i każda z nich byłaby wstanie ukręcić szyję mojej drogiej Badourze, Zobeida jest silniejszą od obydwóch razem i zasłania Badourę. W ten sposób wrogie żywioły równoważą się; walczący szanują się nawzajem i jestem głową spokojnego domu. Odebrałem dzisiaj rano listy od moich czterech żon; wszystkie są charakterystyczne i zajmujące; Badoura zapomniała zapłacić porto (dusza jej wyższa nad szczegóły powszedniego życia) i list jej był najdroższym ze wszystkich.

— Nie płacz, Simpsonie— rzekłem mu —nie płacz, stary towarzyszu; statek odpływa we czwartek; niedługo zobaczysz twoje żony. Przyjmą cię z otwartemi ramionami... ośmioma otwartemi ramionami.

Przyznaję, że pełne szczerości opowiadanie mego przyjaciela wzruszyło mnie. Lecz po dłuższej rozwadze moralność obudziła się we mnie i czuła zgorszoną. Będę o ile możności sprawiedliwym. Ja także, człowiek żonaty, chodziłem na pikniki i byłem ugrzeczniony dla kobiet. W Persji, postępowanie takie mogło mnie kosztować życie albo pociągnąć za sobą wydatki drugiego małżeństwa. To mnie skłania do usprawiedliwienia Simpsona. Lecz z drugiej strony pozostaje ten fakt oburzający, że istnieją w Bassorze cztery panie Simpson. Ile razy spojrzę na jego twarz spokojną, prawdziwą twarz kupca, ile razy słyszę jak opowiada o Persji mojej żonie i córkom, tyle razy z nowem zdziwieniem przypominam sobie jego zwierzenia. Naturalnie, nie pisnąłem im słowa o sytuacji domowej Simpsona; raziłoby ich to. Ponieważ jednak tajemnica ta mi cięży, postanowiłem podzielić się nią z publicznością.

Cała sprawa da się sprowadzić do reguły trzech:

Jeżeli człowiek spokojny i szanowny jak Simpson, mieszkając w Bassorze, ma cztery żony, ile żon mieć będzie... (nie, co innego chciałem powiedzieć) ile rzeczy gorszych uczynią ludzie mniej spokojni i mniej godni poszanowania niż Simpson, mieszkając jeszcze dalej?

Z WYSTAWY SZTUKI W WIEDNIU.

Niedawno otwarto w Wiedniu dwie wystawy w lokalach towarzystwa przyjaciół sztuki na Tuchlauben i w salach Künstlerhausu. Ostatnia przeważa stanowczo bogactwem i znakomitością.

Naprzeciw głównych wschodów ustawiono obraz ogromnych rozmiarów w świetle najlepszem, jakiego doczekać się może dzieło artysty. Jestto Makarta Djana. Otoczona nimfami, trzyma w silnej dłoni oszczep, którym ugodzi wnet pomykającego jelenia. Znużone śmiertelnie zwierzę rzuca się w nurtv wodne pod opiekę nimf wodnych.

Całość rozpada na trzy grupy nie dość ześrodkowane. Traci na tem budowa obrazu i symetrja i pod tym względem pozostał Makart daleko za grupą rafaelowskiej Djany. Nie ma w nim tego poczucia jedności harmonji, znakomite są jednak postacie tych bogiń, osnutych na motywach, wziętych z natury. Nie są to przezroczyste istoty, lecz kobiety z mięsa i kości, o pięknych twarzach i kształtach skończonych. Śród tych istot o wysokiej doskonałości cielesnej, za mało odznacza się Djana. Nie stojąc na pierwszym planie, jest mniejszą od innych nimf, a przytem nie ma tej lekkości, jaką wyobrażamy sobie u bogini myśliwstwa. Piękną Wiedenka (pani Szaffer), która służyła artyście za model, nie jest postacią idealną, na obrazie jednak jest jeszcze cięższą, niż w rzeczywistości.

Makart jest malarzem zmysłowego piękna, hołduje realistycznej szkole, nie popadł jednak w naturalizm, przeciwnie, nie brak mu pewnego polotu, który jednak jest zbyt słaby, ażeby go mógł unieść w sfery idealizmu. Makart zostanie zawsze na ziemi, na ziemi tylko szukać będzie swych natchnień.

Jak w każdym obrazie Makarta, główną rolę odgrywa tu pendzel, a nie węgiel i koloryt, niezrównana karnacja, harmonja barw jasnych i cechy charakterystyczne tego artysty. Ma on też swoją indywidualność odrębną, wszędzie go poznać na pierwszy rzut oka, chociażby tylko po barwie jemu właściwej, którą Niemcy ochrzcili odrębnem mianem: makartsroth.

Po obu stronach wielkiego obrazu Makarta, który jest chef-d'oeuvre obecnej wystawy — umieszczono dwa portrety kobiece tegożsamego pendzla — podobnie jak na wystawie paryskiej, obok wjazdu Karola Vgo.

Drugą osobistością, o imieniu już ustalonem, reprezentowaną w salonie wiedeńskim, jest Gabriel Max — niestety — małym tylko obrazkiem przedstawiającym głowę młodej Rzymianki. W tej miniaturze pełnej wyrazu i prawdy, powitaliśmy szczęśliwy zwrot u artysty, który dotąd przeważnie lubował się w zbyt ekscentrycznych pomysłach.

Utalentowany malarz rodzajowy i historyczny, Defregger, któremu życie i śmierć Hofera dostarczyły wątku do znanych chlubnie kompozycji, przysłał tym razem tylko podrzędny obrasek rodzajowy: „Müssestunden".

Krajobraz Achenbacha z Düsseldorfu (wybrzeże neapolitańskie) zachwycił nas więcej kolorytem włoskiego nieba i morza, niż plastyką i perspektywą.

Na wzmiankę zasługuje Juljusza Blaasa „węgierski jarmark na konie", malowany z prawdą i życiem, równie jak polowanie par force w Göding, na którem spotykamy cesarza, cesarzowę, Andrassego i kilka znakomitości austrjackiego sportu. Najmniej udały jest koń, na pierwszym postawiony planie, którego przód wydaje się stosunkowo nad miarę wielki. Całość jednak wykonana poprawnie, rutynowaną ręką artysty. Obraz ten jest własnością cesarza.

Do najlepszych portretów zaliczamy Ernesta Lafite, wiekową damę. Przedewszystkiem podziwiamy w niej rysunek, który potrafił ująć chwilę niezmiernie charakterystyczną, bez przesady, bez maniery, zgoła bez błędu. Czy pan Lafite jest wielkim kolorystą, z obrazu tego poznać nie można; niezrównaną jest w nim jednak miękkość pendzla i mistrzowski światła podział.

Romako w swej bitwie amazonek, wykonanej z brawurą, naśladuje (mianowicie w szczegółach) malarzy staroniemieckiej szkoły. Traci na tem plastyka. Sztuka dzisiejsza rozporządza środkami tak dzielnymi, że pojąć możemy tylko zwrot do dawnych motywów i ideałów; naśladowanie maniery, sposobu malowania, nie ma dziś racji bytu.

Malarz wiedeński Kray, odznacza się kompozycją bardzo szczęśliwą. Płótno przedstawia Wenecjankę, uczącą pływać kilkoletniego chłopczynę, który trzymając się liny, zwraca główkę do matki z zapytaniem: „czy dobrze?“ Drugie dziecko uwisło na barkach matki. Cała grupa prawdziwie idyliczna, koloryt przypomina szkołę hiszpańską — rysunek odznacza się harmonią linij.

Giron z Paryża przysłał obraz wielkich rozmiarów, treści mitologicznej: „Młodość Bachusa.“ W głębi widać tańczących faunów — bliżej występuje Bachus, jeszcze dziecko — o rysach twarzy zmysłowych i budowie ociężałej. Wsparty rubasznie bawi się sopiałką. Najpiękniejszą postacią obrazu — i pod względem rysunku i perspektywy najwięcej udałą jest kobieta leżąca na pierwszym planie, odwrócona od widza. Plastyka tej postaci jest znakomitą.

Florencki Böklin nie zachwycił nas tym razem swoją Kleopatrą. Widzieliśmy przedmiot ten traktowany przez innych artystów w sytuacji więcej estetycznej. Böklin wziął za przedmiot konającą już kobietę, o cerze twarzy blado-żółtej, ze znamieniem ukąszenia na piersi. Konająca zmusza jeszcze gad własną ręką do śmiertelnych razów. Na tej twarzy nie ma już walki, heroizm i wstręt przeszły w dziką namiętność. Wskazują to dziwnie rozwarte nozdrza i usta wykrzywione okropnie. Chwila taka mogła być rzeczywistą — piękną nie była nigdy.

Wspomnimy jeszcze o małym krajobrazie utalentowanego de Nittis, na którym nic nie widać, prócz nieba i morza, a jednak motyw ten, na pozór dla pendzla nieprzystępny, świecił obrazu urokiem prawdy i poezji.

Dzieła naszych artystów nie są tym razem tak świetnie reprezentowane, jak na innych wystawach. Żaden z naszych malarzy nie dał swego chef-d'oeuvre; przysłano nie wiele, a i w tem po większej części rzeczy już znane. Przytoczymy pokrótce wszystkie, które dotąd nadeszły:

Pięknym jest krajobraz Małeckiego, przedstawiający na sosnowym lesie reflexy zachodzącego słońca. Pomysł oryginalny, w którym artysta wielkie miał trudności do zwyciężenia. Krajobrazy Małeckiego odznaczają się prostotą i niewymuszonym wdziękiem. Przedmiot tak zwykły jak bociany, dostarczył mu wątku do kompozycji (Abendstorchconcert), która na przeszłorocznej wystawie w Monachium zjednała mu uznanie.

Bakałowicz przysłał obrazek rodzajowy: „Zakazane owoce“, na którym widzimy dwie panny, zajęte przeglądaniem rycin. Na wzmiankę zasługuje biust Hausnera, wykonany z talentem przez Barącza. Już z wystawy krakowskiej znany jest Leopolskiego portret prezesa koła polskiego, równie znaną i ocenioną śliczna akwarela Kossaka, przedstawiająca naszych ułanów w czasie kampanji włoskiej.

W. W. C.

Jajko wielkanocne.

do pani K. L.

Zmartwychwstania dzień się zbliża,
Starym obyczajem
Was obdarzyć chcę z Paryża
Wielkanocnem jajem.

Ej! nie kurzem jajem wcale,
Choć ich tu bez liku,
Niechaj sobie czujni Gale
Pieją kukuryku!

Na słowicze dziś nie pora
Nim się bieda prześni,
Serca skrzepły, dusza chora,
Kto dziś słucha pieśni?

Gęsie jajko czyż wyprawię?
Niech mnie strzegą nieba!
Małoż gąsek tam w Warszawie?
Ach! więcej niż trzeba!

Nie chcę jajko w sowim rodzie
Choć on mądrość znaczy.
Dość niestety! w naszym grodzie
Cmentarnych puhaczy.

Wiem ja dobrze, jak przystało
Uczcić Was na święta;
Znam orlicę w Tatrach białą,
Co niańczy pisklęta.

Skradłam z gniazda jedno jaje
Tej macierzy młodej,
Upominek ten Wam daję
Na świąteczne gody.

Wnet skorupę piskle skruszy
W słońcu się rozbuja,
A my chórem z głębi duszy,
Krzykniem: Alleluja!

Paryż 25. marca 1880.

Seweryna Duchińska.

BRANKA TURECKA

przez

ZOFJĘ R.

Obrazek osnuty na tle podań mojej rodziny.

Przy końcu siedmnastego wieku, Tatarzy uwijali się gęsto po kraju, i gdy większe hordy odważały się docierać aż pod Żółkiew i Złoczów dla pustoszenia dóbr królewskich, (Jana III.), mniejsze oddziały plądrowały po Podolu i Pokuciu, uwożąc w jasyr dobytek zrabowany na przestraszonych mieszkańcach wiosek, a często uprowadzając i niewolnika pochwyconego.

Było to w roku 1689, jasne słońce czerwcowe, wesoło oświecało piękny murowany dworzec w majętności państwa podkomorstwa P. położonej o dwie mile od Gwoździca. Niedziela była i godzina ranna. Zegar misternej roboty, w kształcie kaplicy, ozdobiony galeryjkami bronzowemi, stojący na marmurowym kominie, wydzwonił dopiero siódmą godzinę, a trzy panny piękne i jakby do wyjazdu gotowe, przechadzały się już po grabowej, starannie strzyżonej ulicy ogrodu. Piękne były i dorodne, prawdziwie polskie-wiejskie dziewczęta.

Najstarsza 19cie lat licząca, jasna blondynka, płci przejrzystej, niebieskich jak niebo łagodnych oczu, miernego wzrostu, szykowna i zręczna, widocznie stanęła już na porze; już się nie zmieni, taką już pójdzie w życie, póki ono z latami nie wyrobi z niej najpierw niewiasty, a potem matrony poważnej. Druga z kolei, siedmnastoletnia, ciemniejszych włosów, ale również z niebieskiemi oczyma, wzrostem dochodziła wzrostu siostry, ni piękna, ni brzydka, urody średniej, lecz żywa i wesoła, była tą ptaszyną rodziny, która umiała spędzić zadumę z czoła matki zatroskanej przyszłością córek swoich, zerwać chmurę z nad brwi ojca zadumanego nad przyszłością ojczyzny swojej! która umiała rozweselać siostry i dom cały. Trzecia najmłodsza, zaledwie piętnastoletnia, była zupełnie różną od sióstr swoich. Słuszna jak młoda topola, o głowę starsze przerosła, włosów ciemnych, oczu czarnych o nadzwyczaj żywych a gorących blaskach, dziecko jeszcze, a już z powagą rozumu na czole. Piękna była w całem znaczeniu tego słowa.

Przechadzając się po ogrodzie rozmawiały wesoło i swobodnie. Średnia Anusia, prześladowała siostry starościcami M. krewnymi ich i blizkimi ich sąsiadami.

— O to wiadome całemu światu — mówiła — że starszy Gryfita zadrasnął orlim szponem serduszko Joasi, ale że młodszy ma sam zadraśnięte czarnem oczkiem Zosi, to chyba dotąd ja tylko wiem.

— I zostaw też tę wiadomość dla siebie — odpowiedziała zaczepiona dzieweczka — trochę wyniośle, ale bez urazy i zakłopotania, widocznie serce jej spokojne, spało jeszcze.

— Czybyś istotnie była tak obojętną na cierpienia serdeczne krewnego — a zasłaniając usta ręką niby wachlerzem, i wspinając się do ucha siostry — dodała — i takiego ładnego chłopca! Czemu nie bierzesz przykładu ze starszej siostry, ona nie taka sroga, pan Józef ma u niej więcej szczęścia, a biedny Jan! tak mi go żal.

Mówiła o żalu, a oczka się jej śmiały i usta składały do uśmiechu.

Atakowane nie miały jeszcze czasu bronić się, gdyż w tej chwili pokazała się w ulicy kobieta, widocznie należąca do liczby sług dworskich, i szła spiesznie naprzeciw panienkom. Strój na niej był świąteczny; na spodnicę merynosową w ponsowe kwiaty, spadał kabacik obcisły i dość długi szafirowy sukienny, a wszystko to przykrywał biały rańtuch bramowany srebrzystym szlakiem, spływający od głowy na ramiona i okrywający prawie postać całą, strój to był na poły szlachecki, na poły wieśniaczy.

— Gdzie też panienki zabawiają się tak długo — zawołała nie dochodząc jeszcze do spacerujących — pani czeka gotowa w ganku, a konie niecierpliwie prychają i rwą ziemię kopytami przed gankiem. Nie ma się co opóźniać, chciawszy sumę zastać, już po siódmej, a ojciec Ambroży, ani chybi o 9tej staje przed ołtarzem.

To też będzie musiał Bazyli dobrze konie pociskać, by na czas przybyć do Gwoździca.

— My też już także gotowe, moja Małgorzato, idziemy natychmiast — odezwała się Joasia.

— A czy nie przyjechał tam kto? bo zdaje mi się, żem słyszała tentent konia — zapytała Anna — patrząc filuternie na siostry.

— Otóż właśnie miałam powiedzieć, tylko że mnie panny do słowa nie przypuszczą — poczęła rezolutnie Małgorzata — przyjechali oba panicze, to jest starościce, poprawiła się, a gdym wchodziła już do ogrodu, to widziałam, że i kilku kozaków w barwie Jaksów, widocznie z dworu pana starosty M. wjeżdżało na koniach w dziedziniec.

Anusia klasnęła w rączki. — A któraż to z was, Joasię czy Zosię, będą brali szturmem? — i śmiać się poczęła.

— A pfe panno Anno — skarciła ją Małgorzata z wielką poufałością, gdyż wszystkie trzy panienki wyniańczyła na swoich rękach — a pfe, któż mówi takie rzeczy, szturmem!... cóż to czy panny forteca, a panowie M. Tatarzy czy Turcy? Już to ja widzę, że starszy starościc zerka bardzo czule na naszą też starszą panienkę — ale czy mu potrzeba kozaków na to aby ją dostać, poprosi ojca matki, a że i panna mu nie krzywa, jakoś to będzie.

— No, a młodszy? na którą z nas zerka?—zawsze śmiejąc się i poglądając ze znaczeniem na Zofję, zapytała Anna.

— Ej ta to tam dzieciuch jeszcze... poczęła odpierać Małgorzata, gdy wtem dwóch młodych ludzi, ukazało się w ulicy, i dążyło na spotkanie panienek idących już ku domowi. Obaj byli dorodni i piękni, blondyni, silnie zbudowani, szczególnie pięknego składu ramion i pleców, oznaczających siłę. Oczu niebieskich, z tą różnicą, że gdy u starszego niebieska barwa oczu była jasna i rzec można niczem niezmącona, a wyraz w nich świecił tkliwością i dobrocią, to u młodszego te same niebieskie rodzinne oczy, mieniły się ciemnemi i gorącemi blaskami, patrzały jakąś taką dziwną głębią, iż wpatrzywszy się w nie, można było dostać zawrotu głowy, jak od wpatrzenia się w głębiny morskie. Był też wzrostem słuszniejszy od brata, lecz gdy twarz jego młodociana miała dotąd świeżość chłopięcą, gdy wąsik w puchu jeszcze będący, zaledwie rzucał cień na wierzchnią, trochę dumnie podniesioną, wargę, to na męzkiem licu starszego znać już było trudy obozowe, widniała kresa na lewej skroni, wyniesiona z potrzeby Wiedeńskiej, gdy będąc młodym jak dziś jego brat chłopcem, walczył mężnie przy boku Kochowskiego. Wyraz cały tej twarzy był miły i ujmujący, a już najpiękniejszą jej ozdobą był nos jak wyrzeźbiony, równo od czoła idący i zaledwie dostrzegalnie garbaty, jako też śliczne wąsy, o cień jeden ciemniejsze od włosów, gęste, równe, a niezbyt długie, prawdziwe polskie wąsy.

Gdy młodzi zbliżyli się do panien, przywitali je głębokim ukłonem. Na licach Joasi wykwitł delikatny rumieniec, niby odbicie barwy róży, którą, trzymając w ręku, zbliżyła teraz do ustek.

Anusia uśmiechnęła się obu młodzieńcom serdecznie, szczerze, a niewinnie. Zofja przykryła czarne oczy długiemi aksamitnemi rzęsami, które aż cień rzuciły na delikatną, zawsze prawie bladawą, twarzyczkę dziewczęcia.

Rozkochany młodzieniaszek utkwił wzrok swój w te przysłonięte rzęsami oczy, a w źrenicach jego paliły się ognie zbudzonej już namiętności i ciskały iskrami magnetycznemi na bezwiednie zakłopotane dziewczę. Czy pociągniona siłą magnetyczną, czy może aby spłoszyć natręta, podniosła po chwili powieki i oczy ich spotkały się. On jakby czekał i tylko żądał tego, skłonił się jej raz jeszcze i ustąpił na bok.

Podczas gdy ta niema scena odgrywała się, starszy z przybyłych, Józef Jaksa M., powiedział swojej bogdance, że wiedząc, iż dziś wybierały się do kościoła, przybyli, aby im towarzyszyć, a nawet wzięli ze sobą dla konwoju kilkunastu kozaków, bo dowiedziano się, że widziano w tych dniach kupkę Tatarów, koczujących w okolicznych lasach.

— Wczoraj — kończył opowiadanie — oba z bratem w kilkanaście koni zlustrowaliśmy w szersz i wzdłuż całą okolicę i lasy sąsiednie, aby się przekonać, o ile jest prawdy w tych powieściach o Tatarach, lecz nie widzieliśmy żywej duszy. A przecie nie bylibyśmy spokojni, gdyby panie przebyć miały dwie mile drogi bez eskorty zbrojnej, dlatego stawimy się na usługi.

Joasia dziękowała czułem spojrzeniem i czulszem jeszcze słówkiem swemu rycerzowi, który tak ochotnie występuje w jej obronie, lecz, czy to zajęta swojemi uczuciami, czy niedająca wiary pogłosce, opowieść o Tatarach nie zrobiła na niej wrażenia; gdy przeciwnie młodsze jej siostry widocznie były strwożone. Jan pochylił się ku swojej ukochanej i rzekł jej półgłosem:

— Zofjo! — poufałości tej dozwalał mu stopień krewieński, jaki ich łączył — nie lękaj się; gdym ja przy tobie, tyś bezpieczna; gdyby kto chciał sięgnąć po jeden włos z twej głowy, to chyba po moim trupie dosięgnąłby go!

Ona nic nie odpowiedziała, lecz wstrząsła się, jakby już ujrzała zuchwałą rękę sięgającą po ten włos, którego Jan życiem bronić obiecał. Anusia przycichła jak ptaszek spłoszony, a po chwili rzekła:

— Ach, ja się tak boję Tatarów!

Weszli przed dom. Na podwórzu stała już poczwórna landara, zaprzężona w sześć koni z forysiem na przedzie, z furmanem i hajdukiem ogromnego wzrostu obok furmana na koźle.

Kilkunastu kozaków na koniach, w ordynku wojskowym, stało u bramy, niewielki zaś Węgrzynek trzymał przed gankiem dwa konie wierzchowe, w lekkim wojennym rynsztunku. W olstrach widne były pistolety, nie takie jak dzisiejsze, co to misterne, niemal filigranowe, a co najmniej, pozóstną śmierć niosące, lecz ważne w ujęciu, z lufą żwirowaną lub szmelcowaną, niezawodne w strzale, bijące ostro, ale pojedyncze. Zapas też amunicji był potrzebny przy nich; tę wiózł Węgrzynek w pasie skórzanym, opasującym mu biodra. Jego to obowiązkiem było, w razie potrzeby nabijać pistolety i podawać gotowe panom swoim. Kozacy również uzbrojeni byli w palną broń i pałasze.

Gdy weszli na ganek, zastali tam już obojga państwa Podkomorstwa. Pan Podkomorzy zbliżył się do młodzieńców, a podając im obie ręce do uścisku powitalnego, który oni oddali pocałunkiem w ramię pełnym pokory i szacunku, rzekł:

— Wdzięczen wam jestem za troskliwość i opiekę nad mojemi kobietami; kazałem i moim kilkunastu dworskim uzbroić się i przyłączyć do waszej eskorty, bo i mnie zaniepokoiły dochodzące słuchy o widzianych w tych stronach Tatarach czy Turkach. Sam przewodniczyć już i w takiej wyprawie nie mogę; nie wiek nie pozwala mi na to, lecz ta kula moskiewska, która przed 29-ciu laty pod Połonką prześwidrowała mi nogę. Prawda, żeśmy to pod komendą hetmana w. ks. lit. Sapiehy położyli na placu kilkanaście tysięcy Moskwy, a resztę precz aż za Dźwinę nagnali, ale też i naszych coś legło, a ja myślałem, że mi przyjdzie pożegnać się już z nogą, tak była straszliwie roztrzaskana. Została, ale już zawsze niewiele warta, a dziś na starość nic by już warta nie była, gdyby ją wiernie nie podpierała — ot ta przyjaciółka.

Mówiąc to, pokazał grubą, w srebro okutą laskę, na której chodząc, silnie się opierał.

— W każdym razie więcej warta — podjął gorąco Jan — niż moje obie zdrowe i silne, bo złożyła już dań z krwi swojej na ołtarzu ojczyzny!

— Bądź cierpliwy; młody jesteś, przyjdzie, nim życie przeżyjesz, pora jeszcze i na ciebie, a teraz jedźcie, bo póżno będzie.

Gdy kobiety wsiadły do landary, młodzi przypasawszy szable, raźnie i lekko wskoczyli na koń; zdawało się, że tak jeden jak drugi zrośnięci są z koniem; każdy z nich siedział jak wmurowany i wprawną ręką prowadził piękne, szlachetne a posłuszne choć ogniste zwierzę.

Droga do samego Gwoździca przeszła spokojnie, a nawet wesoło. Starszy z Jaksów odkomenderował kozaków swoich naprzód przed powozem na kilkanaście kroków, uzbrojonej służbie pana Podkomorzego o kilkanaście kroków z tyłu jechać kazał; sami zaś nie odstępywali od landary, tylko po obu jej bokach w umiejętnych a dzielnych i zuchwałych skokach towarzyszyli kobietom aż przed sam kościół. Suma już była rozpoczęta, gdy towarzystwo przybyłe weszło; ledwie można się było przecisnąć przed ołtarz, nie zastały miejsca, gdzieby mogły usiąść; ktoś ze znajomych ustąpił pani Podkomorzynie, a panienki poklękły na stopniach ołtarza i modliły się bardzo gorąco.

Młodzież ówczesna umiała się także jeszcze modlić, to też i nasi bracia Jaksowie, od chwili gdy weszli do kościoła, precz odsunęli ziemskie myśli, a duchem

pobożnej modlitwy biegli do tronu Boga. Jan nawet, ten namiętny i gorących uczuć młodzieniec, jeżeli przypadkiem skierował wzrok swój na ukochaną Zofję, to już oczy jego świeciły tylko rzewną a bezegoistyczną prośbą o jej szczęście. Odblask otwartego nieba szczeremi modlitwami młodzieńców, padał na nich klęczących w pokorze i tak rozświecał i upiękniał szlachetne ich postawy, że gdyby życzliwa tylko dotąd Zofja mogła widzieć w takiem duchowem opromienieniu Jana, byłaby go bez zawodu pokochała, lecz ona mając spuszczoną główkę na książkę do modlitwy, nie widziała go.

Gdy po skończonem nabożeństwie, mieszczanie, szlachta okoliczna i lud wysypał się rojnie przed kościół, udzielano sobie półgłosem wiadomości, że oddział Tatarów krąży po okolicy.

Do kobiet szepty te nie doszły, lecz młodzieńcy nasi zasłyszeli je i poczęli rozpytywać się, w których stronach widziano ten oddział, lecz nie dowiedziawszy się nic pewnego, uspokoili się myśląc, że to jest ta sama wiadomość, która ich przed parą dniami doszła. Nie wspomnieli nic o tej nowej pogłosce towarzyszkom swoim, niechcąc je ponownie niepokoić, i w tym samym porządku co pierwej, wybrano się z powrotem do domu.

Już ujechali milę drogi, skwar południowy dokuczał bardzo ludziom i koniom, pomęczone były i szły wolnym krokiem.

Wtem Józef Jaksa, wstrzymał o krok konia swego, a gdy znalazł się za powozem, podniósł się w strzemionach i z natężeniem patrzał w bok ku lasowi, o parę tysięcy może kroków oddalonemu, cała postać jego, okazywała natężoną uwagę, połączoną z nieopisanym niepokojem. Jan obejrzał się za bratem, i w tej chwili stał już obok niego. Popatrzyli na siebie, nie rzekłszy ani słowa. I nie potrzebowali mówić, bo aż nadto dobrze zrozumieli co się dzieje... Znaczny oddział Tatarów wysunął się z lasu, i poczynał już pędem wichru mknąć po roli, kierując się wprost na nasz nie wielki orszak podróżny. Zrozumieli nie mówiąc do siebie, jakie niebezpieczeństwo grozi kobietom!

Józef pomknął konia, zrównał się z powozem, a pochyliwszy się, rzekł uspakajająco ale i stanowczo zarazem:

— Niech się panie nie lękają, ale jechać trzeba jak najspieszniej, coś jakby oddział zbrojny widać w oddali, my go wstrzymamy — a panie dojadą szczęśliwie do domu.

— Bazyli! co koń wyskoczy!! — zawołał gromkim głosem na furmana.

Pani podkomorzyna wychyliwszy się i zobaczywszy czerń tatarską, z okrzykiem przestrachu ręce załamała, Anusia przypadła do jej kolan, ukrywszy twarz w dłoniach, Joasia wyciągnęła ręce za ukochanym, nie wiedzieć, czy chciała go pochwycić z sobą i uwieść od niebezpieczeństwa, czy też sama z nim na śmierć pójść zapragnęła. Zofja zbladła jak chusta, przycięła usteczka, by im gwałtownego drżenia wzbronić, i oczy zwróciła na matkę, chcąc niby tych rysów ukochanych napatrzeć się na wieczność już całą! Tymczasem starszy Jaksa krzyknął: Semen! na bok!! — Kozacy rozstąpili się i powóz szybko, o ile dozwoliła ciężkość jego i zaprząg poszóstny — pomknął po drodze.

Kozacy starosty M. i dworscy pana Podkomorzego uszykowani jak do boju pod przewodnictwem młodych starościców, pomknęli naprzeciw Tatarów, chcąc ich wstrzymać jak można najdalej od ujeżdżających kobiet. Lecz ci widocznie spostrzegli ten manewr, a zrozumiawszy, że w powozie kobiety uciekają, będąc zawsze łakomsi na piękne branki, niż na każdy inny łup, w jednej chwili zmienili kierunek najazdu, i puścili się ukośnie przez rolę w myśli napadnięcia powozu z przodu. I nasza mała garstka zbrojnych w mgnieniu oka zmieniła kierunek i co koń wyskoczy poczęła dopędzać powóz, który już dobry kawał drogi ujechał.

Gdy Jaksowie pierwsi dopadli do wylękłych kobiet, już i Tatarów mała tylko przestrzeń dzieliła od nich. Chwila... a zawrze krwawa, a tak nierówna walka!!

Zaledwie mieli czas otoczyć powóz gdy kilkanaście strzał świsnęło w powietrzu. Kobiety mimowolnie pogięły się jak trzcina wiatrem pochylona, foryś ugodzony w samo serce, legł krwią buchający, hajduk zwalił się z kozła jęcząc przeraźliwie, jeden z kozaków zachwiał się w siodle, lecz wyrwawszy strzałę utkwioną w nodze, precz ją odrzucił nie zaprzestawszy ani na chwilę mierzyć z pistoletu w zbliżającą się zgraję.

— Ognia! wyleciała jak grom komenda, gdy się zbliżyli Tatarzy na strzał. I równocześnie kilkanaście pistoletów podniesionych w górę błysnęło, i huk się rozległ, aż echo lasów jękło! Niemal tylu Tatarów ile rur było na nich wymierzonych — zwaliło się z koni. Lecz reszta rozwścieczona tą niespodziewaną porażką, jak burza szalejąca zwaliła się na garstkę obrońców struchlałych kobiet!! Dziesięciu szło na jednego — konie piersiami o pierś uderzały, ciosy padały, krew bluzgała!... Nieszczęście chciało iż konie uprzężne, zestraszone tumultem i strzałami, a nie trzymane przez forysia, który martwy już leżał w kałuży krwi krzepnącej, skręciły i powóz wywróciły! Wypadek ten był jakby podnietą dla czerni tatarskiej, z okropnym okrzykiem zdwoiła siłę parcia na mężnie się broniących; przebili, się i rzucili ku na pół nieprzytomnym niewiastom. Jedna Zofja stała tylko przytomnie, zasłaniając sobą matkę tulącą w objęciach Joasię, Anna u nóg ich klęczała pochylona, jakby omdlała. W tej chwili Tatar, który dopadł aż do tej skamieniałej strachem gromadki, wyciągnął ramiona, by tę wysoko stojącą przed sobą postać pochwycić, lecz Jan poskoczył, zasłonił ją własnemi piersiami i taki silny cios zadał najezdzie, że ten jak kawał głazu runął na ziemię. Ale natychmiast drugi stanął do walki z Janem, a odparty mężnie, zwalił się z rozłupaną czaszką na towarzysza swego. W ślad za tymi powalonymi, jak fale wezbranej wody, waliła się wściekła zgraja i bohatersko walczący Jan, został ugodzony czekanem w głowę — zachwiał się na koniu — Zofja krzyknęła, oczy zasłoniła rękami, i w tej chwili uczuła się pochwycona w silne ramiona; a gdy otworzyła oczy ujrzała się już na siodle Tatara. Jana nie było między walczącymi!!...

Czyżby przepowiedział sobie, że tylko po jego trupie, można rękę przemocy położyć na niej?...

Czy zadowoleni porwaniem cudownie pięknej branki, czy, że Józef ugodził śmiertelnie ich wodza, dość że horda ta porwawszy na koń skrwawione ciało hana swego, rozpierzchła się i zaczęła równie prędko uciekać jak pierwej nacierała.

Ach! ktoż opisze rozpacz gdy spostrzeżono porwanie Zofji, gdy poczęto cucić omdlałą Annę i przekonano się, że życie z niej już uleciało! Przeszyta strzałą tatarską, cicho bez jęku usnęła u nóg matki , jak usypia ptaszyna o zachodzie słońca! Gdy dźwignięto Jana zbroczonego krwią i nieprzytomnego, z dwiema śmiertelnemi ranami, jedną zadaną czekanem w głowę a drugą jataganem w piersi! Któż rozpacz tę opisze! Czyż w ludzkiej mowie znajdą się słowa na oddanie jej!...

Z trzema pięknemi córkami wyjechała nieszczęśliwa matka z rana, a słońce zaledwie południe przebiegło, wraca już tylko z jedną *). Drugiej trupa bladego wiezie na kolanach, a trzecia? Ach czemuż i ta trzecia zimnym trupem nie wraca pod strzechę ojcowską! Ta trzecia ukochana dziecina w ręku... bisurmanów!!! O boleści!!!...

Zapuśćmy zasłonę na ten straszliwy dramat, silniejszy on jest niż moc słowa.

(Dok. n.)

BEAUMARCHAIS W NIEMCZECH
(1774)

przez
PAWŁA STAPFER.

Beaumarchais ze wszystkich w ogóle pisarzy, jest najbardziej afferzystą a najmniej literatem. Dowcip, jakim błyszczy w swoich utworach, jest tylko cząstką tego, jaki roztrwonił w ciągu swego życia; intryga Figara jest niczem w obec jego własnych awantur. „Zegarmistrz, muzyk, śpiewak, dramaturg, autor komiczny, salonowiec, dworak, negocjant, finansista, trybun okolicznościowy, człowiek z usposobienia spokojny a będący w ciągłych procesach, jeszcze więcej łączył zajęć, niżeli sam Figaro. W pewnej chwili swego życia prowadzi jednocześnie handel w czterech częściach świata: „posiada na morzu czterdzieści okrętów; każe się bić swojej flocie z okrętami państwa w bitwie pod Grenadą; dekoruje swoich oficerów, spiera się z królem o koszta wojenne i jako potęga z potęgą rokuje z kongresem Stanów Zjednoczonych. Wkrótce potem doprowadzony jest do największej nędzy, i ten który posiadał 150.000 liwrów rocznego dochodu, oszczędza się do tego stopnia, że

*) Całe to porwanie przez Tatarów jednej panny a zabicie drugiej, jest najprawdziwszem.

*

chowa każdą raz użytą zapałkę, aby ją po raz drugi można było zapalić. „Jednego dnia obudza“ mówi Griemme przestrach w całym Paryżu; każdy na słowo sąsiada obwinia go o największe przestępstwa“. Przygnębiony, jak sam pisze, powszechną pogardą i nieszczęściem, wstydziłem się i litowałem nad sobą.“ Nazajutrz siłą geniusza, wznosi się z tej nędzy i poniżenia do największego stopnia slawy i majątku; cały Paryż szaleje za człowiekiem, którym wczoraj pogardzał; uwielbia go, wynosi pod obłoki, ściąga na niego uwagę Francji i całej Europy.

Mam zamiar opowiedzieć tutaj kilka rysów charakterystycznych z tego ciekawego życia. Zostawiam na boku autora, nie chcę bynajmniej dawać krytyki jego działalności literackiej. Sam Beaumarchais upoważnia mnie do tego. „Nie jestem autorem, powiada z przesadzoną skromnością w jednej z swoich przedmów, „nie miałem czasu aby nim zostać, będąc zawsze zanadto poważnie zajęty“. Tem poważnem zajęciem było zbieranie majątku a Beaumarchais za wiele miał rozsądku, aby oczekiwać tego rezultatu od literatury. Pokazać jakiemi to on środkami dochodził do majątku, to będzie przewodnią ideą naszej pogadanki. W szczególności zwrócę uwagę na jeden z więcej awanturniczych ustępów, który można wydzielić z jego życia pod tytułem: „Przygody Figara w Niemczech“. Nieboszczyk pan de Lomenie, ścisły i zajmujący biograf Beaumarchaisgo, opowiedział bardzo niedokładnie ten ustęp, bo nie znał niektórych dzieł niemieckich jakie ukazały się dopiero po pierwszem wydaniu jego wybornego dzieła. W ostatnich latach swego życia cały zajęty wielką pracą „les Mirabeaux“, nie miał czasu robić poprawek w historji Beaumarchaisgo na podstawie nowych dokumentów, które z Niemiec przybyły: dla tego też w książce pana de Loménie rozdział ten trzeba przerobić i może nawet niektóre wnioski zmodyfikować.

I.

Beaumarchais jako syn zegarmistrza, zastósował najprzód do tego rzemiosła swój duch pomysłowy. Mając lat dwadzieścia, wynalazł nowy mechanizm zegarowy. Sławny w owym czasie zegarmistrz Lepante, zaprzeczył prawdziwości jego odkrycia; Beaumarchais wytoczył mu proces przed akademją umiejętności i wygrał. Otrzymuje wkrótce tytuł zegarmistrza królewskiego; bywa w Wersalu jako nadworny dostawca; robi dla pani Pompadour zegarek w pierścionku, a dla pani Victoire zegar ścienny o dwóch cyferblatach.

Córki Ludwika XV lubiły bardzo muzykę. Dowiedziały się, że młody zegarmistrz gra z niezwykłym talentem na instrumencie, który wtedy był bardzo w modzie a którego mechanizm on sam wydoskonalił. Instrumentem tym była harfa, która jako nowość we Francji, pociągnęła ku sobie Beaumarschaisgo, rozmiłowanego zawsze w nowościach. Księżniczki ciekawe były go słyszeć; umiał się im podobać, chciały brać lekcje od niego. Powoli Beaumarchais został organizatorem i pierwszym wirtuozem na koncertach familijnych, jakie księżniczki dawały co tydzień, a na których obecny był sam król, delfin, królowa Marja Leszczyńska i mała liczba wybranych gości.

Małżeństwo Beaumarchaisgo z wdową po szafarzu w palacu królewskim, wyjednało mu ten sam urząd, który polegał na tem, aby usługiwać przy stole królowi, ze szpadą u boku i stawiać półmiski przed J. K. M. Później kupił za sumę 85.000 franków szlachetniejszy już urząd sekretarza królewskiego, i tym sposobem miał prawo zmienić swoje rodzinne nazwisko Carron na de Beaumarchais. „Moje szlachectwo mam przy sobie“, mawiał z komiczną dumą, „na dobrym pargaminie, przypieczętowane wielką pieczęcią z żółtego laku. Nie jest ono jak u wielu innych, niepewne i tylko na słowie oparte, nikt mi go zaprzeczyć nie może, bo mam na to pokwitowanie.“

Wielki majątek Beamarchaisgo robił mu tylko nieprzyjaciół. Gdy pierwsza jego żona umarła niespełna w rok po ślubie, ożenił się z drugą, która także umarła. Obydwie były bogate; podejrzywano go, że je otruł. Beaumarchais był zmuszony usprawiedliwiać się publicznie, odwoływać do świadectwa dziesięciu doktorów, czterech dla pierwszej a pięciu dla drugiej żony, którzy zabili... chcę powiedzieć pielęgnowali dwie te nieszczęśliwe kobiety, i dowiódł w końcu, że śmierć jednej i drugiej nie tylko nie wzbogaciła go, lecz nawet zrujnowała.

Beaumarchais był dobrze widziany u dworu, miał sposobność finansiście panu Paris-Duvernay wyświadczyć ważną przysługę; Duvernay, przez wdzięczność, wtajemniczył go w sprawy finansowe i wciągnął do kilku ważnych przedsiębiorstw. Tym sposobem między starym kapitalistą a Baumarchais były ciągle interesa pieniężne, które ostatecznie nigdy nie zostały uregulowane. Duvernay umarł, zostawiając dokument, gdzie zeznaje, jakoby mu Beaumarchais spłacił wszystkie długi, że ma u niego 15.000 franków wypłacalne w każdym czasie, prócz tego obowiązuje się pożyczyć mu bez procentu na lat ośm sumę 75.000 franków. Jedynym spadkobiercą pana Duvernay był jeden z jego siostrzeńców, hr. de La Blache, który ujrzał się właścicielem majątku wynoszącego blizko 1,500.000 franków. Ten człowiek nienawidził Beaumarchaisgo. Kiedy ten przedstawił się jako wierzyciel, pan de La Blache odpowiedział, że nie uznaje wcale podpisu wuja, iż podejrzywa w tem podstęp i oszukaństwo, że zatem Beaumarchais nietylko nie posiada sumy 15.000 franków lecz przeciwnie winien mu jest 103.009 liwrów. Wytoczono proces; Beaumarchais wygrał w pierwszej instancji, lecz pan de La Blache z największą zaciętością natychmiast appelował.

Tymczasem Beaumarchais miał do czynienia z jakąś osobistością śmieszną i gburowatą, która się nazywała księciem de Chaumes. Uwięziono księcia w zamku Vincennes i uznano go winnym. Następnie zamknięto Beaumarchaisgo w Fort l'Eveque, jakby dla symetrji. Hrabia de La Blache skorzystał z uwięzienia swego przeciwnika, ażeby co prędzej proces poprowadzić i tak się dobrze zabrał, że wygrał sprawę. Beaumarchais został skazany na zapłacenie długów unieważnionych pismem testatora, procentu od tych pieniędzy za lat pięć i kosztów procesu.

Tymczasem zabrano mu meble, majątek i wszystkie dochody. Beaumarchais upadł jak najniżej; lecz nagle wznosi się znowu jako zwycięzca parlamentu, ulubieniec narodu, a zbawienie i tryumf przyniósł mu nowy proces, groźniejszy jeszcze od poprzedniego a któren jak się zdawało miał go ostatecznie zrujnować. Podczas gdy hrabia de La Blache proces jego podał do appelacji, Beaumarchais jako więzień w Fort l'Eveque gdy się zbliżył czas sądzenia jego sprawy, dostał pozwolenie wychodzenia podczas dnia, aby według zwyczaju prosić za sobą sędziów. Wyrok miał być wydany w parlamencie według sprawozdania radcy nazwiskiem Goézman. Napróżno dobijał się on do drzwi tego nędznika, i dowiedział się w końcu, że aby otrzymać audjencję trzeba było zrobić prezent jego żonie. Księgarz do którego przychodziła pani Goezman służył za pośrednika, i zażądał dla niej dwieście luidorów. Beaumarchais dał sto gotówką a w dodatku zegarek wysadzany brylantami w tejże cenie. Ponieważ pani Göezman chciała jeszcze piętnastu luidorów, które miały być przeznaczone jak mówiła dla sekretarza męża i te piętnaście zostały jej posłane. Ułożono się, że w razie gdyby Beaumarchais przegrał proces, wszystko co dał będzie mu zwrócone, prócz tych piętnastu luidorów danych sekretarzowi. Zaraz nazajutrz otrzymał Beaumarchais posłuchanie u Göezmana; lecz w dwa dni później, ten sam sędzia zawyrokował przeciwko niemu i Beaumarchais przegrał. Pani Göezman dopełniła umowy; oddała sto luidorów i zegarek; Beaumarchais także się zastosował i nie żądał tych piętnastu przeznaczonych dla sekretarza; ale ciekawy był czy one też doszły do niego, i przekonał się, że zostały w kieszeni pani Goezman. Rozgniewany tym brakiem rzetelności, napisał aby je mu natychmiast odesłała; żnoa radcy: albo była zmuszona przyznać się do wszystkiego i oddać pieniądze, albo zaprzeczyć, że je dostała kiedykolwiek, wybrała to ostatnie; oświadczyła zatem publicznie, że ofiarowywano jej ze strony Beaumarchaisgo podarunki w celu zyskania sobie przychylności jej męża, ale ona odrzuciła te wstępne propozycje. Goezman wdał się w tę sprawę i oskarżył przed parlamentem, że Beaumarchais usiłował na próżno przekupić żonę jednego z sędziów, a przez nią i jej męża, o gdy mu się to nie udało rzucił potwarz na nią.

Taki był proces i to stanowi przedmiot czterech sławnych memorjałów jakie Beaumarchais napisał przeciwko państwu Goezman. Miały one niesłychane powodzenie we Francji i w całej Europie. Wolter był nimi zachwycony; Horacy Walpole w Anglii jednocześnie unosił się nad rozumem autora i oburzał na obyczaje sądowe we Francji. Goethe w Frankfurcie, czytywał je głośno w poufnem kółku przyjaciół a nawet przerobił na sztukę teatralną ustęp dramatyczny Klawiga, wyjęty z czwartego memorjału. W Paryżu naturalnie wrażenie było jeszcze silniejsze, i „taka była wtedy“, jak mówi pan de Loménie, lekkość umysłów w sferach urzędowych, że bawiło to nawet samego Ludwika XV. Pani du Barry śmiała się z tego serdecznie, grywano u niej przysłowia dramatyczne, w których wprowadzono na scenę konfrontację pani Goezman z Beaumarchais.

Jeden parlament Maupeau nie śmiał się tylko. Uchwałą z 26, lutego 1774 roku uznał winnemi obydwie strony, myśląc że tym sposobem zadowolni opinję publiczną i swoją własną urazę. Wyrok wydany przeciw Beaumarchais nakazywał zniszczenie jego pamiętników ręką kata, a jego samego na naganę, kara bardzo surowa, hańbiąca i pociągająca za sobą odsunięcie od wszystkich urzędów publicznych. Skazany powinen był uklęknąć, z głową odkrytą, w obe-

cności dworu i wysłuchać następujących słów prezydenta: „Trybunał daje ci naganę, i ogłasza cię imfamisem“. Sędziowie znieważeni przez lud przy wyjściu z sali sądowej, nie śmieli wprowadzać w wykonanie wyroku; ale sama kara istniała ze wszystkiemi następstwami, jakie jeszcze dzisiaj za sobą pociąga pod nazwą śmierci cywilnej. Nazajutrz miasto całe i dwór zapisywało swe nazwiska u Beaumarchaisgo. Książe de Conti i książe de Chartres zapraszali go na obiady, i kiedy ten tryumf zaczął nadmiarę upajać i tak już z natury zuchwały umysł, naczelnik policji pan de Sartines, przyjaciel Beaumarchaisgo, podszepnął mu na ucho: „To nie dość jest odebrać naganę, potrzeba jeszcze być skromnym“ i dodał: „Król życzy sobie, żebyś pan nic więcej nie wydawał.“

Beaumarchais chociaż tryumfował w opinji publicznej, wyrok jaki go dotknął, był wielkiej doniosłości, a co ważniejsza, Beaumarchais ujrzał się zupełnie zrujnowany. Naprawić imię i odzyskać majątek, to było odtąd naglącem zadaniem, które pobudzało i zaostrzało intrygancki umysł Figara. Za pośrednictwem kamerdynera nadwornego, ofiarował Ludwikowi XV swoje usługi. Stary król słysząc, że Beaumarchais jest człowiekiem nadzwyczajnie zręcznym, powziął myśl użyć go jako tajnego agenta w drażliwej sprawie, a która go osobiście dotyczyła. „Własne jego interesa“, powiedział, „mogą dużo na tem zyskać“. Posłano go do Anglji. Chodziło o kupienie od pewnego włóczęgi, który utrzymywał się ze śpiewania w Londynie, hańbiącego paszkwilu, którym on groził pani du Barry. Beaumarchaismu udała się ta misja. Lecz gdy wrócił do Wersalu, Ludwik XV był umierający. Niedogodny zawód dla naszego pośrednika; śmierć króla pozbawiała go owoców pomyślnie odbytej wyprawy.

— Ludwik XVI wstąpił na tron w maju 1774 roku. Od miesiąca czerwca Beaumarchais zwracał uwagę naczelnika policji pana de Sartines, na niebezpieczny pamflet polityczny, który ukazał się w Londynie i Amsterdamie. Pismo nosiło tytuł: „Uwiadomienie dla dynastji hiszpańskiej o prawach jej do korony francuskiej z powodu braku następców.„ Napadano tam na kilka osobistości rządu francuskiego, a między innemi na samego pana de Sartines, głównie zaś królowa była przedmiotem najbardziej grubiańskich obelg. Nazwisko autora było tajemnicą. Wydawcą był jakiś żyd włoski, Wilhelm Angelucci, urodzony w Wenecji, który najstaranniej zachowywał incognito i przybrał w Anglii nazwisko Wiliama Hatkinsona. Beaumarchais prosił usilnie i otrzymał tajemne zlecenie zatrzymania pamfletu.

Przed wyjazdem do Londynu, żądał własnoręcznie napisanego rozkazu króla, ale odmówiono mu tego. Zaledwie przybył na miejsce, odnowił swoje nalegania z natarczywością i emfazą: „To święte imię będzie dla mnie tem, czem dla Izraelitów było najwyższe imię Jehowy, które ośmielali się wymieniać tylko w największej konieczności“... I to mu się nie udało. Wtedy przedstawił panu de Sartines, że od zniszczenia pamfletu zależała wziętość i reputacja naczelnika policji; dodając że bez autografu króla nic nie może zrobić. Ludwik XVI znudzony wojną, ustąpił w końcu. Przepisał własnoręcznie rozkaz zredagowany przez samego Beaumarchais w następujących wyrazach: „Pan de B., otrzymawszy odemnie sekretne polecenie wyjedzie jak najrychlej na miejsce przeznaczenia; dyskrecja i obrotność jakie okaże przy spełnieniu moich rozkazów, będą najlepszym dowodem jego gorliwości i przywiązania dla mnie.

Marly 10. lipca 1774 roku.
Ludwik.

Pod datą 10. lipca nie można było mówić „Beaumarchais pojedzie“. Beaumarchais był pojechał już przed dwoma tygodniami; ale on wzór tego polecenia zredagował przed wyjazdem, a poczciwiec Ludwik XVI skopiował.

U szczytu swoich pragnień, wysłał B. do króla depeszę pełną uniesień:

„Kochanek nosi na szyi wizerunek swojej pani, skąpiec klucze, nabożny relikwje; ja kazałem zrobić złote pudełeczko, duże i płaskie, w kształcie soczewki, zamknąłem w niem rozkaz W. K. M. i powiesiłem je na złotym łańcuszku na szyi, jako rzecz najpotrzebniejszą do mojej pracy i najdroższą dla mnie.“

Jednym zamachem ręki, interes był skończony. Żyd Angelucci, za 1400 funt. szterl., to jest około 35,600 franków, zgodził się nic więcej nie drukować. Wydanie londyńskie spalono razem z oryginałem. Zostało jeszcze w Amsterdamie. Obie strony zawierające umowę, udały się razem do tego miasta, aby zniszczyć i wydanie holenderskie. Gdy wszystko było załatwione i żyd dał zobowiązanie na piśmie, Figaro przechadza się po ulicach Amsterdamu jako podróżny, wtem dowiaduje się, że jego Włoch jest poprostu oszustem. Uciekł on pokryjomu z jednym egzemplarzem, który wydawać ma podobno w Norymberdze. Beaumarchais ucieszony; pisze do pana de Sartines:

„Jestem jak lew! Nie mam już pieniędzy, ale mam brylanty, klejnoty: wszystko sprzedam, i z całą wściekłością zacznę go gonić... Nie umiem po niemieeku, droga, w którą się udam, jest mi nieznaną, ale kupiłem dokładną mapę, i wyobrażam sobie, jak przez Nimwegę, Kliwię, Düsseldorf, Kolonię, Frankfurt, Moguncję dostanę się do Norymbergi. Będę jechał dniem i nocą, jeśli nie upadnę ze zmęczenia w drodze, biada temu niegodziwcowi, który mnie zmusza do zrobienia jeszcze 300 do 400 mil, kiedy myślałem, że będę mógł odpocząć! Jeżeli go spotkam w drodze, odbieram mu papiery i zabijam za te wszystkie zmartwienia i przykrości, na jakie mnie naraża.“

Pojechał i już jest daleko. Podróżuje pod przybranem nazwiskiem pana „de Ronac“, (anagram z Caron, nazwiska ojca), ze służącym Anglikiem, który umie po niemiecku, a którego wziął z sobą, gdy bawił w Londynie. 14. sierpnia przybył do Frankfurtu, wziął ztamtąd na stacji pocztowej konie i ruszył do Norymbergi. Cóż to się stało 14. sierpnia w Leichtenholz, małym lasku jodłowym niedaleko Neustadt? Coś się tu stało, ale co? Dwóch świadków o tem mówiło, Beaumarchais i pocztyljon: przesłuchamy każdego z nich po kolei.

Nazajutrz po 14. sierpnia, Beaumarchais pisał do swych znajomych we Francji; że przejeżdżając wczoraj, o trzeciej po południu, powozem z pocztylionem i służącym przez lasek jodłowy blisko Neustadt, o kilkadziesiąt mil od Norymbergi, wysiadł na chwilę z powozu, a tamci jechali dalej. I właśnie puścił się aby ich dogonić gdy został napadnięty przez jakiegoś rozbójnika, który z długim nożem w ręku żądał pieniędzy lub życia. Zamiast sakiewki B. wyciąga pistolet, trzyma zbója w należytej odległości, a sam cofa się do pobliskiej jodły, którą zgrabnie okrąża; następnie do drugiej, trzeciej i tak dalej cofając się ciągle z pistoletem skierowanym ku głowie nieprzyjaciela. Myślał, że tym sposobem dostanie się na brzeg lasu i znajdzie pomoc; gdy wtem wielki jakiś chłop, w niebieskiej bluzie bez rękawów, z ubraniem na ręku, zabiega mu drogę z tyłu. Wobec wzrastającego niebezpieczeństwa B. postanowił najprzód pozbyć się tego ze sztyletem w ręku, aby później zmierzyć się z drugim. Podbiegł więc do pierwszego złodzieja, dał ognia z pistoletu ale chybił. Złoczyńca czując przewagę, rzuca się na niego, drugi zachodzi z tyłu, chwyta go za ramię, przewraca, a pierwszy uderza go z całej siły swym długim nożem w piersi.

Myślałem, że już po mnie; lecz aby wam dać dokładny obraz dziwnego zbiegu okoliczności, którym winien jestem ocalenie życia i radość, że mogę pisać do was, muszę powiedzieć, że noszę na piersiach złoty medalion, zawierający dokument tak dla mnie drogi, że bez niego nie mógłbym podróżować... Zamiast przebić serce, nóż pośliznąwszy się na metalu, zadrasnął mi tylko szyję, przebił brodę i wyszedł przez dolną część prawego policzka. Nie umarłem jeszcze, powiedziałem sobie podnosząc się szybko. Z wściekłością tygrysa rzuca się na rozbójnika i chwytam go za ramię chcąc mu wydrzeć nóż z ręki, on, odbiera mi go napowrót z taką siłą że kaleczy moją lewą rękę aż do kości. Ale usiłowanie jakie robi cofając się, a razem i mój napad obalają go na ziemię; silnem kopnięciem nogi wytrącam mu sztylet z ręki, a kolanami przyciskam go całego; jednocześnie krew, która mi spływa z twarzy, oślepia go zupełnie. Drugi opryszek, widząc, że śmierć grozi jego towarzyszowi, z całych sił ucieka.“

Beaumarchais powaliwszy na ziemię rozbójnika chciał go skrępować, zabrać do powozu i wjechać z nim tryumfalnie do Norymbergi. Odciął już nawet nożem pasek skórzany jaki nosił rozbójnik i miał mu nim związać ręce, gdy zobaczył, że drugi wraca w towarzystwie kilku podobnych mu łotrów. Rozwścieklony tém, że musi opuścić swoją zdobycz, uderzył sinie złodzieja pistoletem w usta, całego go pokrwawił, wyłamał mu szczękę i wybił kilka zębów.

Tymczasem pocztylion zaniepokojony długą nieobecnością podróżnego, wjechał napowrót do lasu aby go szukać. Nawoływał trąbką jaką pocztylioni niemieccy mieli zawieszoną przez ramię na pasku skórzanym; na jej odgłos złoczyńcy poumykali. Beaumarchais ocalił życie i pieniądze. Ale w jakim znajdował się stanie! Oprócz ran jakich opis czytaliśmy powyżej, ma tak straszne boleści w żołądku przy każdem odetchnięciu, że kurczy się we dwoje. Pluje krwią, a natężony ruch ust przy kaszlu jątrzy mu ciągle ranę na brodzie, która się krwawi i sprawia mu wielkie boleści. Jednakże wesołość nigdy go nie opuszcza.

„Tymczasem trzeba będzie, pisze do znajomych we Francji, zmienić moją nazwę, i zamiast mówić Beaumarchais zhańbiony, nazywać mnie Beaumarchais pokiereszowany. Blizna, która nie zaszkodzi moim powodzeniom miłośnym... Z tą blizną, z obrzmiałą i obandażowaną ręką mam minę maszkary. Dodajcie do tego, że oddychając wykrzywiam się jak wisielec, i to najmniej

czterdzieści razy na minutę... Idźcie, idźcie do wszystkich moich znajomych pań i panów, a powiedziawszy najprzód że żyję, czytajcie co chcecie z mojego listu.“ (C. d. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

(W) Po wielu narzekaniach, upominaniach, prośbach i żądaniach mamy nareszcie w murach naszych Sejm, od lat dwóch niewidziany. Marszałek krajowy, hr. Ludwik Wodzicki, z niezwykłą odwagą w mowie swej zagajającej podniósł wszystkie żale kraju na dotychczasową sprzyjającą nieprzychylność władz rządowych dla naszych autonomicznych instytucji, i słusznie zwrócił uwagę na konieczną potrzebę posiadania w składzie tego rządu osoby z położeniem kraju dokładnie obeznanej, osoby mogącej być skuteczniej niż dotąd łącznikiem między krajem a władzą. Wprawdzie marszałek całe to macosze traktowanie Galicji zwalił na sumienie już w historji tylko istniejącego ministerstwa, ale sądzimy, że i obecne weźmie sobie to jego przemówienie do serca i zechce zrozumieć, że najcierpliwsza i najpokorniejsza lojalność poczciwych Polaków, ma także swoje granice. Pan Namiestnik ze swej strony ograniczył się na wymówieniu wszystkich groszów, które rząd pożyczył lub dał krajowi w ciągu tego roku, zapomniał tylko dodać, że za tę serdeczną pożyczkę czeka nas powiększenie podatków gruntowego o parę milionów rocznie i kwaterunkowego najmniej o sto tysięcy. Jak to będzie z tem powiększeniem, to trudno przewidzieć, bo i Wydział krajowy ma z tych lat niedoboru tylko milion guldenów; więc czy galicyjskie kieszenie na to wystarczą, czy przy całej swobodzie konstytucyjnego gadania, nie przyjdzie sprzedać ostatniej koszuli — czas to pokaże. Tymczasem życzymy sejmowi, aby wezwawszy z głębi serca Ducha świętego, postarał się o wywołanie cudu, jakby tu jednym koszem chleba obdzielić cały naród; inaczej bowiem będzie źle, pomimo że uradzimy statut nowego banku hypotecznego krajowego, ustawy budownicze i ustawy drogowe i umeblujemy nowy gmach sejmowy, a nawet zrobimy jednego sekretarza więcej w biurach wydziału krajowego. Będą więc mieli szanowni posłowie nad czem się pocić, do czego i Pan Bóg z pewnością im łaski swej nie odmówi, zsyłając czerwcowe pogody, których tak poskąpił dla stowarzyszenia pracy kobiet. Szlachetna ta instytucja, dająca zarobek uczciwym wyrobnicom igły, roiła sobie w niedzielę, że z loterji fantowej zasili porządnie swoją kasę: tymczasem deszcz lunął jak z cebra i porozpędzał precz i gości, i muzykę, i opiekunki i fanty. Jest to dla stowarzyszenia prawdziwa klęska, którą, spodziewamy się, publiczność nasza zechce wynagrodzić przy dalszym ciągu tej loteryjnej zabawy, która w tych dniach ma być ponowiona.

Rada miejska lwowska, niedawno kompletnie odnowiona, niestety już potrzebuje reperacji, a jak powiada złośliwy mój kolega, trzech guzików do zapinania, gdyż cokolwiek się rozluzowała na niej kapota... Jeżeli już ci trzej nowi radni, których mamy wybrać, stanowić mają rzeczywiście guziki, śmiemy upomnieć współobywateli, aby wybrać takie, które mają mocne głowy i tęgie nogi, oderwą się, więc niechże będzie za co drugi raz ich przyszyć.

A propos rady miejskiej, śmiemy zapytać szanowną sekcję zajmującą się myciem i czesaniem miasta, czy nie ma jakiego środka lub grzebienia, którym mogłaby do jakiegoś przyzwoitego porządku doprowadzić ogródek i budynek prześwietnego zarządu seminarjum ruskiego przy ulicy Ossolińskich, aby wśród upiększającej się przez nowe i okazałe budowle tej części miasta, ogarnął jako tako i sam budynek wyglądający na żydowską synagogę, i oczyścił ten ogródek dotykający ulicy, a zostający w kompletnem zaniedbaniu. Posłowie szanownych boryteli walczący tak zawzięcie o równouprawnienie, a raczej przewagę żywiołu ruskiego, niechby przynajmniej pokazali Europie, że mają pojęcie o jakimś smaku i estetyce, niechby pobielili tę ruderę, a nie tak jak dziś zostawili kurom władzę porządkowania ogródka.

Na zakończenie, dzielę się z czytelnikami wiadomością, którą tylko co wyniosłem z naszej redakcji, choć wiadomość ta jest jeszcze wielkim sekretem stanu. Oto wydawca przygotowuje dla prenumeratorów „Tygodnia“ wielką i niewidzianą u nas niespodziankę, coś w rodzaju dużej galwanoplastycznej tarczy z popiersiem jednego z najbardziej zasłużonych mężów w kraju. Nie mogę jeszcze powiedzieć kogo, ale wiem, że to ma być premja bardzo piękna i bardzo kunsztowna.

* * *

(A) Nareszcie, nasza, wystawa dzieł sztuki, chronicznym brakiem obrazów od lat kilku dotknięta, po długich a ciężkich cierpieniach dnia 6. b. m. otwartą została. Nie na czasie byłoby dziś roztrząsać przyczyny tego systematycznego nieudawania się naszych wystaw. Powodując się jednak najszczerszą życzliwością dla wystawy naszej, niech nam wolno będzie zanotować kilka drobnych uwag, jakie nam ostatne odwiedziny nasunęły. Zauważywszy w katalogu, na pierwszem miejscu położone nazwisko Rodakowskiego, nieomieszkaliśmy natychmiast poszukać ostatniej pracy tego mistrza; daremnym jednak był trud piszącego te wyrazy, z przykrością bowiem dowiedział się, że wprawdzie w katalogu figuruje 80 Nrów, wiele z nich jednak jest jeszcze na sztalugach w pracowni artystów. Wystawa wszakże z każdym dniem wzbogaca się. W ostatnich czasach przybyło kilka obrazów, pomiędzy którymi króluje obraz *Czachórskiego* p. t. „Czy chcesz różę.“ Jest to praca cechująca prawdziwego artystę, mistrzowsko rysującego, pełnego intelligencji i talentu. *Pan Sidorowicz* nadesłał milutki pejzażyk pełen poezji i ciepła; p. *Franciszek Tepa* zawiesił, nad dość po dyletancku przez siebie malowaną główką chłopięcą—pełną siły i szerokiego traktowania akwarelkę przedstawiającą „Spoczynek Arabów;“ nareszcie cztery akwarele *Juljusza Kossaka* przedstawiające historyczne postacie polskich bohaterów, słusznie na wszystkich wywierają wrażenie. Na ś. p. *Gryglewskiego* akwarelę przedstawiającą „Ratusz w Gdańsku“ jako na ostatnie arcydzieło nieodżałowanej pamięci nieszczęśliwego artysty, zwracamy szczególną uwagę czytelników, którym w ogóle polecamy szczerze Wystawę naszą. Sądzimy bowiem, że wkrótce, dziś uboga jeszcze, zamieni się w prawdziwie zajmujący salon.

* * *

(B) Przyjemnie nam jest podzielić się z czytelnikami wiadomością, że poeta nasz, Teofil Lenartowicz, mieszkający we Włoszech, stara się o ile może publiczność tamtejszą zaznajamiać z arcydziełami poezji naszej i trzeba przyznać, że mu się to udaje. Oto niedawno, miał odczyt w auli uniwersytetu Bolońskiego o Konradzie Walenrodzie, na który mimo ulewnego deszczu zebrało się przeszło pięćset osób. Trochę to więcej niż u nas bywa na odczytach, a pomiędzy słuchaczami widziano syndyka miasta, profesorów uniwersytetu, mnóstwo dam i kilku Polaków z panem Wiktorem Zienkowiczem z Medjolanu, używającym tam niezwykłego poważania. Odczyt więc udał się jak nie można lepiej, a entuzjazm słuchaczów dla utworu naszego wieszcza Adama nie miał granic, bo każdy ustęp mowy prelegenta przerywano tysiącznemi oklaskami. Dzięki więc poczciwym usiłowaniom ziomków, sława nasza rośnie po za granicami kraju, za co niech raczą przyjąć wyrazy naszej wdzięczności.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc czerwiec.

— *Analekta wielkopolskie.* Tom I. zawiera Rejestr poborowy Województwa Kaliskiego 1618 do 1620. wydał i wstępem opatrzył A. J. Parczewski 8ka str. 304. Warszawa 1879. 3 złr. 60 ct.

— *Bełza Stanisław.* Jeden miesiąc w Norwegji, z dziennika podróżnego. 8ka, str. 106 Warszawa 1880. 75 cnt.

— *Bełza Stanisław.* Karol Miarka. Kartka z dziejów Górnego Szląska. 8ka str. 59. Warszawa 1880. 45 cnt.

— *Brzechwa Stanisław ks.,* Żywot świętobliwej Magdaleny mortęskiej. 16ka, str. 188. Pelplin 1880. 36. ct.

— *Bogorja Jarosław.* Zwierciadło kobiety — Wczoraj — Dzisiaj — Jutro. Wiersze 8ka str. 21. Kraków 1880. 50 ct.

— *Bykowski Piotr Jaxa.* Chorągwie Kmitów. Powieść z XVII wieku na tle prawdziwych zdarzeń osnuta. 8ka, str. 199. Warszawa 1880. 1 złr. 15.

— *Czajkowski Antoni.* Baśń o żelaznym wilku i o pięknym królewiczu. 16ka str. 47. Lwów 1880. 20 ct.

— *Dejski M. A.* Miodowe miesiące, komedja w dwóch aktach. 8ka str. 28. Lwów 1880. 60 ct.

— *Dupanloup Ks.* O wykształceniu kobiety (La femme studieuse). Spolszczył ks. Zygmunt Chełmiński. 8ka str.176. Warszawa 1880 1 złr. 35 cnt.

— *Hering Teodor dr.* O nowszych sposobach badania i leczenia chorób jam nosowych z uwzględnieniem operacji polipów nosa zapomocą pętlicy z 7ma drzeworytami. 8ka, str. 24. Warszawa 1880. 90 cnt.

— *Hoffman Fr.* Jaka praca, taka płaca. Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół, przełożył Juliusz Topor. 16ka, str 160. Brody 1880. 50 ct.

— *Jokai M.* Dworożny człowiek, powieść, przekład z węgierskiego E. K. 8ka, str. 134. Poznań 1879. 60 ct.

— *Jankowski Edmund.* Kwiaty naszych mieszkań z 198. figurami 4o str. 296. Warszawa 1880. 5 złr. 40 cnt.

— *Jastrzębowski Ludomił.* Nawozy chemiczne dobytek i gnój (streszczenie głównych zasad podanych w dziele p. Jerzego Ville. 4o str. 16. Warszawa 1880. 90 cnt.

— *Koszutski X. H.* Żywot św. Baldomera, kowala. 16. str. 114. Pelplin 1880. 24 ct.

— *Krasiński Z.* Grób rodziny Reichstalów. Powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniej. 8ka str. 88. Poznań 1880. 72 ct.

— *Kaśznica Józef.* O chorobach społecznych. 8ka str. 17. Warszawa 1880. 45 cnt.

— *Kraszewski J. I.* Waligóra powieść historyczna z czasów Leszka Białego. 3 tomy 8ka, str. 212, 209, 213. Warszawa 1880. 4 złr. 50 cnt.

— *Liguore Alfons.* Uwielbienia Marji (tłumaczenie O. Prokopa kapucyna) 8ka str. 585. Kraków 1880. 1 zł. 80 ct.

— *Łuczkiewicz prof. dr.* Wykład popularny o chorobie skrofulicznej, czyli rzecz o przypadłościach tej choroby, jej przyczynach i sposobach ochronienia od niej dzieci. 8ka, str. 174. Warszawa 1880. 2 złr.

— *Meilhac i L Halevy.* Pałacyk, komedja w jednym akcie z francuskiego. 8ka str. 18. Lwów 1880 40. ct.

— *Narzymski Józef.* Ostatnie trzy miesiące życia. 8ka str. 116. Poznań 1879 60 ct.

— *Popławski M.* Grymaśnica ukarana. Komedja w 2ch aktach. 8ka, str. 49. Warszawa 1877. 35 cnt.

— *Pierce E. W.* Na obu półkulach. Powieść z angielskiego przez M. Z. 8ka str. 238. Poznań 1879. 1 zł. 80 ct.

— »*Różaniec*« rozważany w trzydziestu rozmyślaniach przez ks. Djecezji chełmińskiej. 16ka str. 254. Pelplin 1880. 60 ct.

— *Rulikowski* i *Z. L. Radzimiński.* Kniaziowie i szlachta między Sanem, Wieprzem, Bugiem, Prypecią, Dnieprem, Siniuchą, Dniestrem i północnemi stokami Karpat osiedleni. — Opowiadania historyczne, heraldyczno-genealogiczne i obyczajowe. Z kartą Rusi i tablicą genealogiczną Rurykowiczów według Upatjowskiego latopisu, oraz drzeworytami w tekście tom I. 8ka, str. 224 i 40. Kraków 1880. z przedpłatą za całość 12 zł.

— *Sienkiewicz Henryk.* Pisma tom III. (Listy z podróży po Ameryce, dokończenie, Listy z Rzymu i Paryża. Komedja z pomyłek) 8ka, str. 269. Warszawa 1880. 2 złr. 25.

— *Turkawski M. A.* Wspomnienia Czarnohory, z mapą Czarnohory. 8ka str. 148. Warszawa 1880. 75 cnt.

— *Uruski hr. Seweryn.* Gospodarstwo łąkowe. 8ka, str. 110. Warszawa 1880. 90 cnt.

— *Vertesi E.* Szkoła nędzy. Przekład z węgierskiego E. H. 8ka str. 175. Poznań 1880. 90 ct.

— *Wdowiszewski W. J.* Kobieta w historji sztuki. 8ka str. 167. Poznań 1879. 90 ct.

— *Wicherkiewicz dr. B.* Okulistyka popularna w pojedyńczych wybranych działach, zeszyt I. zawierający anatomią oka i naukę o jaskrze wraz z tablicą. 8ka str. 44. Poznań 1880 90 ct.

— *Zaremba Tadeusz.* Niedobrana para. Powieść 8ka str. 262. Poznań 1879. 1 zł. 80 ct.

— »*Żywoty świętych*« pańskich starego i nowego testamentu z dzieła księdza Piotra Skargi skrócone i zastosowane do użytku osób wszelkiego stanu i wieku przez Ap. C. tom III. 8ka, str. 461. Warszawa 1880. Cena za całość 7 złr. 50 cnt.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Pan Stanisław Grudziński, poeta i autor wielu powieści i dramatów, redaktor Tygodnika powszechnego, bawi od kilku dni we Lwowie.

*** Donosiliśmy już, że komitet zawiązany w sprawie pamiątkowego wydawnictwa dzieł Jana Kochanowskiego, zamierzył celem uzbierania dostatecznego funduszu, urządzić przedstawienie z utworów dawnych dramaturgów naszych.

Na przedstawienie to wybrano „Odprawę posłów" Kochanowskiego, „Żywot Józefów", tudzież: „Z chłopa król" Baryki.

Otóż dowiadujemy się obecnie, iż komitet wyż rzeczony, idąc za światłemi radami Kraszewskiego, postanowił myśl pierwotną zmienić do pewnego stopnia.

Zamiast bowiem „Żywota Józefów", Mikołaja Reja, ma być przedstawiony utwór dramatyczny Jana Sawickiego, pod tytułem: „Jeftes".

Może też do repertoaru owego przedstawienia historycznego wejdzie, jeżeli warunki czasu na to pozwolą, i jedna z komedji Zabłockiego albo Wybickiego.

*** Nowa firma księgarsko-wydawnicza Elizy Orzeszkowej i sp. w Wilnie ogłosiła świeżo prospekt zamierzonych wydawnictw.

Wychodzić one będą serjami, a każda serja pomieści szereg książek i broszur treści naukowej, społecznej i beletrystycznej.

Program pierwszej stanowią następujące dzieła: Edwarda Lubowskiego „Sąd honorowy", komedja; Walerego Przyborowskiego „Włościanie w Polsce i gdzieindziej", szkice historyczne; Piotra Chmielowskiego „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 16 tu"; Marji Konopnickiej „Z przeszłości", fragmenty dramatyczne (Hipatja-Wessaljusz Galileusz); T. T. Jeża „O spólnictwie z życia i natury", studjum krytyczne nad socjalizmem i komunizmem; Michała Bałuckiego „Z książeczki pamiątek", nowelle; Walerji Marrené (Morzkowskiej) „O przesądach w wychowaniu", studjum pedagogiczne; Leopolda Meyet'a „Dla nieznajomej", nowelle: Piotra Chmielowskiego, „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi", epizod z walki o światło; Elizy Orzeszkowej „O kobietach", rzut oka na historyczne i społeczne położenie kobiet; Jana Karłowicza „Poradnik dla osób wybierających książki dla młodzieży i dzieci; Elizy Orzeszkowej „Zburzone gniazdo", powieść.

*** P. Tytus Budzynowski, kierownik II. szkoły wzorowej przy Seminarjum nauczycielskiem męzkiem we Lwowie, wydał własnym nakładem bardzo pożyteczne dziełko p. t. „Słownik przemysłowy" zawierający krótkie objaśnienia najpospoliciej w przemyśle używanych wyrazów.

*** Opuścił prasę szósty, a zarazem ostatni tom dzieł Krasickiego, wydawanych w zupełnej edycji pod kierunkiem p. Piotra Chmielowskiego.

*** Ostatnia powieść Gabrjeli (Narcyzy Żmichowskiej) p. t. Kasia i Marynka, drukowana niedawno w miesięczniku Ateneum, wyszła obecnie z druku w oddzielnej odbitce.

*** W Pradze rozpoczęto druk poezji Bohdana Zaleskiego w przekładzie czeskim pana R. Pokornego.

*** Księgarz Jan Otto, tamże drukuje tom przekładu z dzieł Zygmunta Krasińskiego, pióra pana F. Kwapila.

*** W zapowiedzianym tomie nowym poezji, pani Eliszki Krasnohorskiej, mają być pomieszczone obszerne ustępy z Pana Tadeusza.

*** Dr. Antoni Methner we Fryburgu wydał ciekawe studjum w języku niemieckim: „Voltaire, Lessing und Ignaz Krasicki (ein Studium und eine Paralelle)."

Rzecz ta wyszła drukowana jako rękopis w czterech tylko egzemplarzach.

Tenże sam autor ma przygotowane do druku obszerne dzieło: „Rousseau, Pestalozzi und Śniadecki", którego wszakże wydać nie może dla braku nakładcy.

*** W Paryżu w tych dniach ukaże się pod patronatem ministra spraw wewnętrznych nowy dyplomatyczny tygodnik. Politycznym dyrektorem będzie deputowany republikańskiej lewicy, a naczelnym redaktorem współpracownik „Evénémentu". Nowe pismo zamierza współzawodniczyć z wydawanym przez Edwarda Simona „Memorial diplomatique."

*** Wyspa Madagaskar staje się krajem literackim. W stolicy wychodzi aż 5 czasopism, których tytuły są następujące: „Dobre słowa", „Ryż z miodem", (dziennik illustrowany), „Poradnik", „Przyjaciel dzieci", i „Pamiętniki Madagarskiego Towarzystwa naukowego". Pierwsze cztery z tych publikacji wychodzą w języku francuskim, ostatnie zaś w angielskim.

*** Przegląd Polski w Zeszycie za m. czerwiec r. b. zawiera: 1. Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia, przez Seweryna Przyrowę. 2. Juljan Klaczko. Wieczory Florenckie, przekład St. Tarnowskiego. 3. Odrodzenie i Reformacja w Polsce, pięć prelekcji publicznych Józefa Szujskiego. 4. Kwestja polska w Literaturze rosyjskiej przez L. Kozłowskiego. 5. Obchód w rocznicę śmierci Długosza i Zjazd historyczny w Krakowie przez Dr. . . skiego. 6. Przegląd literacki, przez Hugona Zatheya. Adama Asnyka „Przyjaciele Hioba". 7. Przegląd polityczny przez Al. Szukiewicza.

*** Gazeta rolnicza w Nr. 23 r. b. zawiera: 1. Służebności, przez Jana Romualda Wilanda. 2. Dwa sposoby ekonomicznego sprzątania siana i wszelkiej paszy, na pisał Ludomił Jastrzębowski. 3. Głosy z praktyki gospodarskiej p. Henryka Mierzeńskiego. 4. Listy o owczarstwie, przez W. Łuszczewskiego. 5. Z Lipskiej wystawy Towarzystwa ochrony zwierząt p. S. K. 6. Listy z Rypińskiego p. G. B. P. 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografja i Krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: Francja pod względem rolniczym.

Nauka.

*** W Berlinie w dniach od 5 do 12. sierpnia odbywać się mają obrady niemieckich antropologów; równocześnie urządzona będzie wystawa antropologiczna.

*** *Record* donosi, iż londyńskie królewskie towarzystwo geograficzne, w uznaniu zasług około badań geograficznych biskupa kraju murzyńskiego, dr. Crowther, murzyna, podarowało mu złoty zegarek.

*** *Geologja księżyca.* P. Landerer przedstawił na posiedzeniu paryskiej Akademji nauk z 26. kwietnia pracę swoją p. t. „Géologie lunaire", w której stara się oznaczyć naturę skał stanowiących powierzchnię księżyca. Opierając się na gęstości masy i kącie, pod jakim powierzchnia jego polaryzuje promienie słoneczne, dochodzi do wniosku, że skały na księżycu podobne są do krzemionkowych, jakiemi są n. p. minetta Morvanu. (Minettą geologowie francuscy za przykładem Voltza nazywają pewną odmianę porfiru felzytowego, składającego się z głównej masy ortoklazowej czerwono-brunatnej, w której obficie rozsiane są łuszczki szarej lub brunatnej miki magnezjowej żelazistej, ziarna ortoklazu, a niekiedy i hornblendy).

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** We Francji, Najwyższa Rada wychowania publicznego postanawia: że nauka języka łacińskiego w gimnazjach, ma się rozpoczynać dopiero od klasy 4tej, greckiego zaś dopiero od 6tej. Dalej postanawia zaniechanie zupełne i bezwarunkowe wypracowań, mów i wierszy tak greckich jak i łacińskich, nakoniec naukę wszelkiej w ogóle gramatyki ścieśnia do najszczuplejszego zakresu. Czy my się kiedy doczekamy podobnego dobrodziejstwa?

*** Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczy krajowej wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, ogłosiło drukiem sprawozdanie z czynności swoich za czas od listopada 1879 do maja 1880. Ze sprawozdania tego, przytaczamy następujące cyfry: Członków honorowych liczy Towarzystwo 45 zwyczajnych 62. Dochodów miało Towarzystwo złr. 429·04, rozchody wynosiły złr. 376·70 majątek zaś Towarzystwa złr. 3.967, a w tem funduszu żelaznego złr. 964·47.

*** Cały okrąg czeski Strakonitz, jako też i miasto Strakonitz, wystąpiły z petycją do sejmu o zaprowadzenie w szkołach kary cielesnej.

*** W bieżącym miesiącu obchodzony będzie trzechsetletni jubileusz kopalni rtęci w Istrji; kopalnie te, odkryte w roku 1490 za panowania arcyksięcia Karola austrjackiego, jako księcia Styrji, przeszły na własność skarbu, w którego zarządzie dotąd pozostają.

*** Iwan Zmertych, Węgier, zamierza odbyć oryginalną podróż. Z Ostendy puści się on welocypedem przez Bruksselę, Kolonję, Norymbergję, Linz i Wiedeń do domu do Pesztu. Drogę tę wynoszącą 1.200 mil angielskich, Zmertych odbędzie w 21 dniach.

*** *Fałszowanie cygar.* Czasopismo angielskie „Journal of applied Science“ zwraca uwagę na fakt stwierdzony w ostatnich czasach, że w Turyngji przeszło 25.000 centnarów suszonych liści buraczanych sprzedaje się rocznie, jako tytoń. Liście buraków, cykorji i kapusty, w znacznej ilości na ten cel używają się w Magdeburgu i Palatynacie. Cygara „Weweńskie“ używające wielkiego powodzenia w południowych Niemczech, nie zawierają wcale tytoniu, ale składają się wyłącznie z liści kapuścianych i buraczanych, pozbawionych swej rodzimej woni i smaku w skutek specjalnej kultury, a następnie długo moczonych w odwarze tytoniowym.

*** *Opał komprymowany.* Na ostatniem posiedzeniu amerykańskiego stawarzyszenia inżynierów górniczych w Nowym-Jorku, p. Loiseau czytał pracę swoją o „użytecznej i rozwijającej się fabrykacji opału komprymowanego w Port Richmond, w Filadelfii“. Silny ogień na kominku wykazywał zalety tego nowego opału, którego bryłki wielkości kurzego jaja członkowie oglądali z zajęciem. Ogień rozpalono bez użycia drzazg lub drobno połupanego drzewa. W pracy swojej p. Loiseau opisał sposób jego wyrabiania, trudności jakie zwalczać musiał i środki zaradcze. Paliwo to robi się z 91 części miału węglowego i 9 części smoły, stanowiącej zlep dla miału. Pali się tak długo jak antracyt i nie pozostawia żużli po sobie. Obecnie w fabryce wyrabia się go 325 cetnarów w godzinie. Wielki kłopot dla fabryki stanowi ta okoliczność, że składnicy węgla nie chcą sprzedawać miału, widząc w nowem paliwie rywala dla swego towaru. Spodziewać się jednak należy, że zrozumiawszy własny interes, sami zaprowadzą u siebie odpowiednie machiny i zaczną wyrabiać paliwo, które coraz większym pokupem cieszyć się poczyna.

Odkrycia i wynalazki.

*** *Telefot.* Jeżeli pewne wieści nie są płonnemi, powinniśmy nie długo usłyszeć o nowym wynalazku naukowym, godnym stanąć obok telefonu lub fonografu. W ostatnich czasach niektóre gazety amerykańskie odzywały się o tajemniczym przyrządzie, *telefocie* albo *djafocie,* wynalezionym jednocześnie przez dwóch amerykańskich współzawodników, który ma przenosić światło, tak jak telefon przenosi dźwięki. Wieści te opierają się na fakcie, że znany Graham Bell złożył instytutowi Smithsońskiemu pakiet zapieczętowany, mający podobno obejmować pierwsze rezultaty otrzymane przy pomocy nowego i ciekawego przyrządu, obmyślanego przez autora podczas pobytu jego w Anglji w r. 1878.

*** *Pismo magnetyczne tajemnicze.* Prof. Thomson w Brystolu zrobił niedawno ciekawe spostrzeżenie pod względem zastosowania magnetyzmu. Jeżeli weźmiemy cienką tafelkę ze stali hartowanej i na niej silnie namagnesowaną pałeczką żelazną, niby piórem litery kreślić zaczniemy, to punkta tafelki z któremi pałeczka się stykała, magnesują się na długo do tego stopnia, że przyciągają opiłki żelazne. Jeżeli tedy miałkiemi opiłkami podobnemi posypiemy tafelkę, następnie postawimy ją pionowo, ażeby nie przyciągnięte przez nią opiłki spadły lub zdmuchnąć się dały, to na miejscach, po których przeszła pałeczka namagnesowana ukaże się pismo wypukłe z przylegających do tafli opiłek złożone.

*** *Przemiana nici w jedwab.* Jeden z chemików francuzkich miał wynaleźć sposób przerabiania nici na jedwab i założyć już towarzystwo akcyjne z kapitałem sześciu miljonów franków dla eksploatowania tego wynalazku. Według dziennika Bulletin des soies, odkrycie polega na tem, że włókno lniane czy każde inne roślinne, za pomocą pewnego chemicznego procesu pokrywa się powłoczką materji jedwabnej (matiere soyeuse), podobnie jak w galwanoplastyce przedmioty metalowe pozłaca się lub posrebrza. Że jedwab rozpuszcza się w kwasach mocnych a szczególniej w sodzie i chlorku cynku, o tem wiadomo już od dawna. O ile jednak podobne jedwabienie rozmaitych włókien roślinnych osiągnąć się istotnie daje, przekonamy się w krótce; w Paryżu bowiem mają być podjęte staranne próby nowego tego wynalzku.

Dumas u siebie.

— Oto ulica Villers — na niej widzisz przepyszny dom autora »*Dame aux camelias*«, otoczony wspaniałym ogrodem, zarośnięty bluszczem, z monogramem właściciela.

Wejdźmy do tego domu, w którym płodny umysł modnego pisarza tyle pięknych i brzydkich stworzył rzeczy...

Wszystko tu odznacza się przednim smakiem.

Na pierwszem piętrze gabinet Dumasa; ściany obite safianem, okna zwrócone ku północy i wschodowi, a większe półki ozdobione rzeźbami, błyszczą rzadkościami bibliograficznemi, których zazdrościć może najzawziętszy bibliofil.

Biurko zwraca uwagę swoją wielkością i oryginalną konstrukcją; na niem porozrzucane skrawki angielskiego papieru.

Wkoło krzesła porozrzucane rozmaite leksykony i encyklopedje, nazywane przez pisarza „adjutantami“.

Ponad półkami widzimy porozwieszane obrazki starych i nowych malarzy.

A więc Vernet'a, Delecroy'a, Diaza, Fortuniego i Marchala.

Ilekroć razy Dumas wydaje nową książkę, tyle razy nabywa sobie nowy obrazek, twierdząc, iż to *nagroda za pracę.*

Na prawo wisi portret jego ojca, malowany przez Marchala, na lewo zaś *vis à vis* portret syna malowanego przez Dubuis, wprost zaś od wejścia biust samego Dumasa, dłuta rzeźbiarza Carpo i prześliczna kopia grupy Laokona.

Każdy kącik zajmują drogie i cenne pamiątki, z podróży lub z życia wcale nie ubogiego w wrażenia...

Żona Dumasa ma zwyczaj napełniania codzień świeżemi kwiatami wazonu, znajdującego się na biurku Aleksandra; oprócz wazonu tego na stole w pośród kolosalnej ilości kałamarzy i piór znajdują się portrety dzieci i żony.

Z wyjątkiem jednego miesiąca całe lato spędza Dumas na wsi w *Pui* na bretońskim brzegu o dwadzieścia minut odległości od portu Dieppe.

Jeszcze w roku 1858 wioska ta liczyła dwadzieścia domków zaledwie, mieszkańcy których zajmowali się połowem ryb.

Samotność ta podobała się niezmiernie Dumasowi, kupił więc stare domostwo i trzydzieści metrów ziemi.

Samotność ta jednak niedługo trwała; od chwili bowiem, gdy osiedlił się tu Dumas, Pui stało się modnem i wkrótce obok zamieszkali: Montini, dyrektor teatru *Gymnase,* znakomita śpiewaczka Miolan Carralho i lord Salisbury.

Pui jest dla Dumasa drogą miejscowością; tu pochowanym jest jego ojciec...

W jednej stronie willi Dumasa widzimy pawilon dla artystów, których towarzystwo. Dumas przekłada nad wszelkie inne; tutaj też Carpo wykonał swoje sławne dzieło „Żona rybaka“, znane pod nazwiskiem „*Feie* w drewnianych trzewikach“, tu także pracowali Vallon i Marchal.

Dumas przedstawia się jako człowiek wysokiego wzrostu z niebieskiemi jasnemi oczami i jasnymi włosami.

Znanej historji jego urodzenia powtarzać tu nie chcemy i on też o niej nie rad wspomina.

Młody Dumas początkowo kształcił się na pensji u Corbo, byłego współpracownika literackiego starego Dumasa.

Nielegalne pochodzenie ogromnie dręczyło chłopca, który rosnąc stawał się coraz smutniejszym i coraz bardziej zamyślonym...

Co rok na święta przyjeżdżało pacholę do ojca — wolno mu jednak było nazywać go tylko „panem“...

Pewnego razu ojciec zastał malca chowającego jakiś przedmiot szybko do kieszeni...

— Co chowasz? — pyta ojciec.

— Nic — odpowiada dziecko.

— Nie kłam, a pokaż co masz w kieszeni.

Mówiąc to stary Dumas, wyciąga z kieszeni syna tomik „Emila“ Girardina, w losie którego tak wiele znalazł podobieństwa z sobą młody chłopak.

— Jeżeli chcesz czytać książkę, to ją czytaj spokojnie, tylko racz mi też powiedzieć, jak ona ci się podoba — spytał stary pisarz.

— Bardzo! — odczuwam całkiem losy Emila i myślę, iż uczynił doskonale, wyrobiwszy sobie nazwisko, które mu tak srogo bez jego winy zabrano, pragnę nawet uczynić toż samo.

Łzy płynęły z oczów ojca — objął malca i rzekł wzruszony.

— Noś moje imię, nie gardź mną i niech cię Bóg błogosławi!

W ośmnastym roku życia młody Dumas został wprowadzonym do salonów pani Baldor.

Przy pierwszem zaraz wejściu w świat, Dumas syn zachwycił wszystkich rozumem, manierami, i elegancją.

Potem ojciec oddał go do kolegjum.

Jednem z pierwszych dzieł Dumasa syna były „Omyłki młodości“, a potem „Przygody trzech kobiet i jednej papugi“, w których spostrzedz już można talent wybiegający po nad zwykły poziom.

We wszystkich utworach Dumasa syna, zawiera się zawsze choć cząsteczka wypadków i wrażeń, które sam przeżył, i dla tego tak podobają się one ogólnie.

»*Affaire Clemenceau*« — »*Diane de Lys*« — »*Dame aux perles*« — »*Le fils naturel*« — »*La vie à vingt ans*« — wszystko to są ułamki z jego własnej biografji.

W »*Dame aux camelias*«, Armand Duval — to sam Dumas-syn...

Dumas syn jest dobrym kolegą; Marchal i Favre byli jego najdawniejszymi przyjaciołmi.

Z pierwszym codziennie grywał w bilard i codziennie umyślnie... przegrywał.

Gdy rozeszła się wiadomość, iż Marchal odebrał sobie życie skutkiem finansowych kłopotów, Dumas ze łzami w oczach zawołał:

— Biedny Marchalu, wszakżeż nie nędza zmusiła cię do tego — ty przecież doskonale wiedziałeś jak wielkiem dla mnie było szczęściem, przegrać do ciebie codziennie kilkanaście partji.

Od chwili śmierci znakomitego artysty, nie minął ani jeden dzień, w którymby Dumas nie zatrzymał się przed jego obrazem i jego imienia nie wspomniał.

Dumas w oryginalny pracuje sposób.

Kiedy obmyśla jakie nowe dzieło, nie znosi niczyjej obecności, gdy jednak osnuł już bajkę, wtedy nietylko, że drzwi jego są otwarte dla wszystkich, ale gorączkowo prawie szuka towarzystwa...

Dumas nigdy nie rzuca szkicu swojego dzieła, lecz odrazu przenosi myśli na papier, który... musi być koniecznie welinowym!

W obecnej chwili pisze on powieść, tytuł, której jest jeszcze tajemnicą; zauważano wszakże, iż pisarz z niebywałą pilnością wziął się do rzeczy.

Dr. B. K.

Treść Nr. 24. str.

Zadora, historja z końca XVIII. wieku, przez J. I. Kraszewskiego. (c. d.) . . . 369
Przyczynek do historji sejmu Grodzieńskiego. 371
Korzyści poligamji, opowiadanie humorystyczne przez Jamesa Payn . . . 375
Z wystawy sztuki w Wiedniu . 376
Jajko wielkanocne, wiersz przez S. Duchińską . 377
Branka turecka, przez Zofję R. . 377
Beaumarchais w Niemczech, przez P. Stapfera . 379
Kronika tygodniowa 382
Bibliografia polska 382
Wiadomości z kraju i ze świata . . 383
Dumas u siebie. 384

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.